



1878

1878

1878

1878

nie niszczy  
KSIĄZEK

1695





WŁASNOŚĆ  
POLSKIEJ MACIERZY

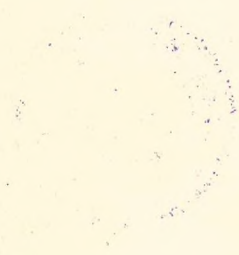
SZKOLNEJ.

*Nr 1695*

Kolo Kieleckie

CZYTELNIĄ  
M. RAWINY  
W Kielcach.

POEZYE.



1871  
1872

MARYA KONOPNICKA

# POEZYJE



SERYA PIERWSZA

1695



nie niszczy  
KSIĄZEK

WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

1896.



87488

Дозволено Цензурою.  
Варшава 1 Апрелья 1896.



WŁASNOŚĆ

POLSKIEJ MACIERZY

SZKOLNEJ.

Nr 7695

CZYTELNIA  
M. RAWINY  
w Kielcach.

Koło Kieleckie

NIE DUSZCZY  
KSIĄZEK

### WSTĘP.

Za ostatnim poetą zamknęła się brama.  
Trudno się skarżyć; cześć im oddali ziomkowie.  
Charmides, z wieńcem lauru na wzniesionej głowie  
I w płaszczu purpurowym, wyglądał, jak drama,  
Z wlokącym się poza nią długim epilogiem.  
Menander także w wieńcu, który mu na czoło  
Dali ateńscy męże, piał pieśnią wesolą,  
Jakby mu Dionizos bratem był — nie bogiem;  
A wiedząc, że się sława rychło zmienia w marę,  
Niósł z niedbalstwem wspaniałem pełną wina czarę,  
By pieć zdrowie ojczyzny — za ojczyzny progiem.  
Euthydem niósł lirę, brząkając w nią zcicha,  
A pierś jego wezbrana, co smutkiem oddycha,  
Tak pełna jest tęsknoty — i łez — i zadumy,  
Że za każdym ust tchnieniem unoszą się tłumy  
Mar powiewnych, przejrzystych, i wiązanką płową,  
Jako wieniec róż bladych, lecą mu nad głową.  
Philebus, z olimpijskim spokojem na twarzy,  
Szedł jak mąż, który dźwiga na barkach Hezjoda;

A za nim w niewidzialnej postępują straży:  
 Kunsztowna antistrofa, rzeźbiona epoda,  
 I orzeł zeusowy nad głową się waży,  
 I otacza go grecki błękit i pogoda.  
 Timaeus kroczył blady, obuty w koturny,  
 Niosąc z dzieł swych tragicznych popiołów dwie urny;  
 A gałąź cyprysowa, owinięta kołem,  
 Zdawała się ze zgrozy wstawać mu nad czołem...  
 Milczał; jeśli wychodząc nie rzucał przekleństwa  
 Na miasto obłąkane i pełne szaleństwa,  
 To jedynie dlatego, by ziemia pobladła,  
 Nim on przestąpi bramę, w przepaść nie zapadła.  
 Dajmon zamykał pochód i wybuchem śmiechu  
 Żegnał Ateny, pieśń swą przekazując echu...  
 I zaraz też podgórza dzieliły się wiernie  
 Spadkiem poety, rapsod skandując misternie,  
 Coraz to przeźroczyściej, coraz ciszej... ciszej...  
 Tak że ostatnie dźwięki Zeus ledwo słyszy. —

Plato odetchnął. Odtąd poezya zdradziecka  
 Umysłów wytrzeźwionych oczadzać nie będzie,  
 I żadna już od pieśni nie zadrży pierś grecka...  
 Ostatnią lirę, w kącie rzuconą na śmiecie,  
 Po jakimś zapomnianym włóczędzie — poecie,  
 Strzaskano, jak bezbożne, przekłete narzędzie.

Pierzchły już bezcielesne, urojone mary,  
 Których nikt nie przykroi do rozsądnej miary...  
 Odtąd mieszkańcy miasta, stojąc na swych progach,  
 O tem, co rzeczywiste, radzić będą zimnie,  
 I nikt, przy jakimś grzmiącym, pełnym ułud hymnie,  
 Nie będzie roił baśni o chwale i bogach.  
 Epos przestanie kłamać i drażnić umysły;  
 Na wzruszenia jest wymiar ogólny i ścisły,  
 I nikt pod wpływem pieśni, omamiony słuchem,  
 Nie będzie śnił, że leci nad światy gdzieś duchem...  
 Ludzkość, wolna od rodu wieszczów i rapsodów,  
 Przestanie pragnąć źrójów żywych i ogrodów,  
 I nie będzie roiła o cudach dziwacznie,  
 I na byt swój powszedni trzeźwo baczyć zacznie.  
 Cóż jest pieśń? dźwięk słów pusty, jako wiatru szelest.  
 Poezya najpiękniejsza jeszcze prawdą nie jest,  
 I, jako płonne zielska, po drogach zarasta...  
 Lecz dziś wszystkie wyrwano! Poza bramy miasta  
 Odprowadzono wieszczów z wieńcami na czole  
 I przed poezją wrota do Aten zaparto.  
 — Tak dumał prawodawca.

• Cóżto za pachole,  
 Z głową wzniesioną w niebo, źrenicą rozwartą  
 Szeroko, patrząc w błękit ten, czysty jak fala  
 Egejska, gdy w niej jutrznia łuny swe rozpała,  
 Stoi w cichym zachwycie? Nad niem szumią drzewa,  
 Ptak wędrowny skrzydłami bije i pieśń śpiewa,

Olimp w mgłach gubi czoło, jak senny atleta...  
Echo pieśni Homera w błękitach gdzieś kona,  
A wokoło powstają bohaterów cienie  
I ojcowie o wielkiem sercu idą smutni...  
Zadumanemu chłopcu pierś chwyciło drżenie;  
Spłonął i wyciągając młodzieńcze ramiona,  
Głosem czystym, jak kryształ, wołał: »lutni!... lutni!...«  
— Jakto? wielcy bogowie! — czyż znowu poeta!?

# W GÓRACH

## I.

### Przygrywka.

Wkoło mnie otoczyły moje równie senne,  
Pasmem jednakiem.

Ale ja sobie lecę w krainy odmienne, —  
Umiem być ptakiem.

Błękitna przestrzeń mruga, zaprasza do siebie,  
Skrzydeł nie nuży...

Pędzim sobie we trójkę: ja, obłok na niebie,  
I listek róży. —

Listek najpierwszy upadł na wioskowym kopcu  
Cudzej granicy,

Jak rzucone słóweczko drogiemu mi chłopcu  
Mdłej obietnicy...

A obłok powiał dalej... pod słońko się stroi  
W biel i we złoto,

Aż u chaty ostatniej, co w kraju mym stoi,  
Zadrzał tęsknotą...

Wiatr szarpnął go za szatę, rozrzucił mu włosy,  
Toż łzami leci

Na łączkę, gdzie pod gruszą siedzi dziaduś bosy  
I kupka dzieci...

Nie chce odlecieć dalej! Z tej mgły urodzony,  
Z oparów rzeki,

Gdzież mu zwiedzać świat obcy, inne jakieś strony  
I kraj daleki?

Więc sama lecę... sama, choć serce mnie boli  
I smutno wróży...

Czemuż nie chciał obłoczek podzielić mej doli,  
Ni listek róży?

Z obłoczka jabym sobie wieczorem pod głowę  
Zwiła posłanie;

A z listka zasię róży — toć czary gotowe  
Na zakochanie.

Lecz sina dal pociąga, i wabi, i nęci,  
Jak cud nieznanany...

Ej! ujrzę raz na oczy insze sianożęci  
Insze kurhany!

Ej! postyszę ja przecież, jakto ludzie gwarzą  
Obcym mi gwarem...

I wypatrzę miesiączek, z jaką wstaje twarzą  
Nad cudzym jarem...

I dowiem się raz wreszcie, gdzie tęcza podziewa  
Wstążek swych końce?

I jakie tam piosenki o zmroku rozbrzmiewa  
Echo mdlejące.

U nas w wiosce znam wszystko... wszystkiemu już syta,  
Aż do znudzenia...

Codzień zza tego wzgórza słońce rankiem świta,  
Nic się nie zmienia.

Wiem, gdzie rosną dziewanny, a gdzie niezabudki  
W przydrożnym rowie;

Wiem, gdzie szary słowiczek zwil domek malutki  
W naszej dąbrowie;

Wiem, gdzie ojciec lan orze, gdzie matka wybiela  
Cieniutkie płótna;

Wiem, jak w święto wieczorem grzmi wiejska kapela,  
Jak fletnia smutna...

Lasek, cmentarz, kościółek, starego plebana,  
Znam już z pamięci...

Tęskno mi! — ej, pociąga dal sina, nieznaną,  
Wabi i ńęci!



## II.

### Na Dunajcu.

Wąziutkie nasze łodzie, przepięte łańcuchem,  
Lekko mkną po Dunajcu sennym jakimś ruchem,  
I tak modrawą falę przecinają gładko,  
Jakby ptastwa wodnego żeglujące stadko...  
Z lewej i prawej strony dwie ściany skaliste  
Wyciągają się ku nam w cienie długie, mgliste:  
A Dunajec drga lekko w migotliwe skręty,  
Sunąc, jako wąż w trawie piersiami wygięty.  
Wiosło uderza miękko, niby pieszczotliwie,  
A człowiek ledwo wierzy, że na ziemi żywie;  
Bo świat tam, z drugiej strony, do skał gdzieś przyparty,  
A widok tylko w niebo błękitne otwarty.

Lecz fala w węższy parów głębiej się już wkrawa;  
Aż na skrytym »niedźwiedziu«<sup>1)</sup> nagle dęba stawa,

---

1) »Niedźwiedziem« nazywają górale stoczony w wodę odłam skały.



Ciska pianę, jak rumak wstrzymany wędzidłem,  
 I, jako górski orzeł, skałę bije skrzydłem,  
 I, jak tur, wściekłem czołem dno przepaści bodzie,  
 I z stromych barków gniewnie zrzuca nasze łodzie,  
 I w kółko się okręca, i zżyma i krztusi...  
 Ejże! zwróci się w biegu i niedźwiedzia zdusi! —

\* \* \*

Lecz patrz! góry cofnęły swe kamienne czoła...  
 Zaśmiała się nad brzegiem góralka wesola,  
 I kąpiąc w złotym żwirze bose swoje nóżki,  
 Wśród podaje pachnące groszki i ostróżki.  
 Zebrała je porankiem, w Leśniczej, na Rusi,  
 Nim zwiędną szumnym Laszkom rozprzedać je musi.  
 A tuż nad nią źródółko żywej wody bije,  
 Więc czerpie śniadą rączką i do gości pije.  
 Ej, Dunajcu! rozmarszcz się, jeśli twoja łaska,  
 I nie mąc odbitego w twej fali obrazka;  
 Niechże ja się napatrzę tej bosej góralce!

~~~~~

Niedźwiedź już tylko zdala mruczy coś po walce;  
 Plusnęły wazkie wiosła w lewą, w prawą stronę;  
 Łodzie się przytuliły, jak ptaki spłoszone,  
 A cisza rozmarzona, skrzydlata, pieściwa,  
 Dunajec, nas i góry w swe rąbki okrywa.

Fala się niby modli, jak harfa zakłęta:  
 To przed dziczą uchodzi nasza Kinga święta  
 I stopy swe, znużone podróżą niezwykłą,  
 Myje w jasnym źródelku, co z skały wynikło...  
 Orzeł zerwał się z turni jak tatarska strzała...  
 Z boku tuli się trwoźnie jakaś mniszka biała...  
 Grzmiąca pogoń kopytem po wierchach rozbrzmiewa,  
 A za siewcą — łan pszenny w oczach się dojrzewa...

\*       \*       \*

Jak cicho! róg góralski echa gdzieś potrąca;  
 Do snu kładzie się fala u brzegów mdlejąca;  
 Dzwon z Grywałdu roznosi uroczyste dźwięki...  
 Wtem na skrócie padł wystrzał, a słowa piosenki  
 Rozigrane, jak kozy skaczące ze skały,  
 Z łodzią w zieleń przybraną mimo nas leciały...  
 »Sława!« rusin przewoźnik gromko się okrzyknął;  
 Plusk i szum się podwoił, potem mdlał aż zniknął;  
 Tylko gniewny Dunajec srebrną brózdę gładzi  
 I długie rozhowory z echem gór prowadzi.

### III.

W poranek.

Z Jarmuty mgła spada, jak rąbek z dziewczyny;  
Po niebie obłoczek przewija się siny;

    Za chwilę, wschodzące

    Spromieni go słońce

I tronem on będzie jutrzence...

Wcześniejszy od świtu, ciemniejszy niż zmierzchy,

Wszedł góral w swej guni, z siekierką, na wierzchy;

    Nim dzionek rozbłyśnie,

    On zagrzmie, zaświśnie

I echa rozbudzi w piosence.

O cicho... o cicho! schylony na skale,

Utopił źrenice w powietrza kryształ

    I liczy, jak skarby,

    Omszone te garby,

Rodzinnych gór swoich przyczola.

— »Prehyba... Petrańczyk i Wilcze zielone!...

Tu moja sadyba i gniazdo rodzone.

Jam z wiatrem tam latał  
 I z orłem się bratał;  
 Znam wszystkie smereki dokoła.  
 Tu Kunia, Opołta, a tam Koszarisko...  
 Ej! dalneż to wierchy, choć widzą się blisko!...  
     Pieniążna, Czerteże,  
     Gdzie skarbów złe strzeże,  
 Gdzie rogi nie jęczą pastusze...  
 Ej, byłoż mi świata pod skalne te ściany,  
 Dopókim nie poznał wietrznicy Marany,  
     Co miga mi w oczach,  
     Po Łanach, Uboczach,  
 A śmiechem zabiera mi duszę!...  
 Wróżyła cyganka: »Złe dnie z Sokolicy!  
 Ej! nie chodź pod okno Marany wietrznicy,  
     Bo serce wyśpiewasz,  
     I Boga zagniewasz,  
 I pójdzie twa dola na marne«.

Nie chodzić?... a także! Od świtu się włóczę,  
 Gdzie dziewczę zaplata warkocze swe krucze.  
     Och! wróżby... wróżbity...  
     Jam wesół i syty,  
 Gdy w oczy popatrzę się czarne!  
 Nie będzie mnie chciała! — ej! znam ja wąwozy,  
 Gdzie strzelcom z pod kulki z wichrami mkną kozy.  
     Ot, Rogacz... Homole...  
     Wybieram, co wolę...  
     Przepaści, jak śmierć, tam głębokie!

Ej, słońce ty, słońce! pośpieszaj ze wschodem,  
Bo trudnoż mi z sercem stęsknionem i młodem!...

Och! ani pamięta,

Że ziemia ta święta,

A nad nią — jest niebo wysokie!

## IV.

N o c.

Na tym kawałku ziemi Bóg położył dłonie  
I odjął — i stanęła tu piękność w osłonie  
Dziwnego majestatu. Smereki zielone  
Zaplotły jej koronę szmaragdów na skroni,  
A kształty jej przepysznie rzeźbionego ciała,  
Niby grecka draperya, mgła lekka owiała.  
U spodu szaty, jako taśma złotem szyta,  
Mienia się górskie pólka jęczmienia i żyta;  
A przepaska Dunajca, modra, falująca,  
Z pod piersi, szumiąc, spada i o stopy trąca.  
Nagie ramię kamienne, wyciągnione w górę,  
Podtrzymuje zachodu królewską purpurę,  
I, jako karyatyda, strop niebieski dźwiga,  
Aż blednie i w pomrokach liliowych zastyga.

\* \* \*

Cicho! oto jej księżyc srebrne bajki plecie  
I majaczy tam dziwy niebywale w świecie;

Rozbudza duchy białe, co w szczelinach drzemią  
 I rade o północy hasają nad ziemią;  
 Zroszonym mehom rozplata brylantowe włosy  
 I, jako dziwożona, łechce senne wrzosiy...  
 Halny wiatr powiał chłodem... dzwonek się odzywa.  
 Zbłąkana, za kozarem tęskni owca siwa...  
 Juhas huknął; po turniach odhuknęły jary.  
 Gdzieś czujny róg się ozwał, gdzieś drugi do pary,  
 Okrzyknęły się wierchy, coraz słabiej — ciszej,  
 Aż ostatni ich odgłos przepaść chyba słyszy...  
 Zboczem drgnęła kozica w miesięcznej poświacie:  
 Pomknęła na szczyrbinę, stanęła na czacie,  
 I cicha, lekką szyję podała w przestworze...  
 Hej, strzelcze! hybaj z regli! zaskoczysz ją może!

Cisza... wioski rusińskie drzemią na siwarze...<sup>1)</sup>  
 Rozbiegane świstaki wabią się po parze;  
 Watra<sup>2)</sup> gdzieś resztą żaru w oddali przebłyska,  
 A biały dech z parowu wznosi się w kłębiska...  
 Dunajec szumny przez sen pluszcze się i gada;  
 Nad nim stoi w zadumie Sokolica blada...  
 I dziwnie się do jedna schodzą w nocną ciszę:  
 Tęsknota, co rozbudza, — spokój, co kołysze.

<sup>1)</sup> Siamo.

<sup>2)</sup> Ognisko pasterzy.

Kamiennym snem zasnęły Tatry; a nad głową,  
 Zoraną w dziwne brózdki strzałą piorunową,  
 Na skrzydłach górskich orłów ciche sny się ważą  
 I stare pieśni nucą, stare dzieje gwarzą.

— Słuchaj! to szumi morze spienione i sine...  
 Przechył się, jeśliś mężny, i spojrzuj w głębinę.  
 Czy widzisz? Tam w muszelek drobniutkich koronie,  
 Najwyższy czub tatrzański w mętnych nurtach tonie.  
 Wokół skalne przyczola obsiadły drużyną,  
 I patrzą w błękit nieba poprzez falę siną;  
 A zamkniętych w więzieniu twarden, kryształowem,  
 Rzeki chyba pozdrowią powitania słowem,  
 I przyniosą im wieści z dalekiego kraju,  
 I słodkiej wody dadzą, niby korowaju...  
 Smutno Tatrom wiek płynie! Ciężka jeńców dola!  
 Choćby ci się wdzięczyły pereł ząbki białe,  
 Choćby ci koral róże dawał skamieniałe,  
 Ty zawsze tęsknisz, wzdychasz i szepczesz: »niewola!  
 Och! bracie!

— Stój! czy słyszysz huk burzy złowrogi?  
 Huragany, jak tury, wzięły się za rogi;  
 Fale wrą niby lawy arterye płomienne...  
 Zatrzęsły się przepaści; leci grom po gromie:  
 Ruszyły się z swych posad zręby wód widomie;  
 Powieź ziemi zapada w otchłanie bezdenne;



Pożar błyskawic gore; morze pianę ciska,  
Cofa się, jak odyniec, ze swego łożyska;  
Pęka na grzbiecie Tatrów łańcuch kryształowy;  
Drząc, pryskają im z ramion przejrzyste okowy...  
Ostatnich gromów echem rozgrzmiewają brzegi,  
Ostatnie bryzgi morskie lecą, jako śniegi,  
I do kamiennych skroni przymarzają białe...  
A jako z pękniętego pierścienia złuskany,  
Podniósł się Krywań siwy i otrząsnął z piany,  
I twardą pierśią odbił pierwszą słońca strzałę...  
. . . . .  
Hejnał! spłonęły Tatry od posad do szczytu...  
Śpią niżnie; gór przyczola pierwsze dojrzą świtu  
I w blaski spromienione, nim zmierzch pierzchnie siny,  
Luną dnia wstającego rozbudzą doliny.

## V.

### Na Czorsztynie.

Oj! zatęsknił Czorsztyn biały  
Na samotnej skale;  
Oj, wypuścił wzrok, jak strzały  
Przez Dunajca fale.  
Tam na brzegu, jak dziewica  
W przeźroczystej bieli,  
Pluszcze stopy swe Niedzica  
W kryształnej kąpieli...  
Oj, zmała modra woda  
Jasne swoje łoże;  
Zakipiała dusza młoda,  
Jako sine morze.  
Lećcie orły, lećcie w swaty,  
Przez błękitne tonie!  
Niech w jutrzennych zórz szkarłaty  
Luba ma zapłonie...  
Zwiń się lesie nad jej czołem  
W zielony wianeczek

Ty Dunajcu zwiń się kołem  
     W złoty pierścioneczek.  
 Mgły niech rańtuch jej uprzedą  
 Powiewny, bieluchny;  
 Sine wierchy niech jej będą  
     Za družby i druchny.  
 W organ burza niech zahuczy;  
 Wicher niech zaśpiewa;  
 Niech rozplecie włos jej kruczy  
     Błyskawic ulewa.  
 Niech nam drogę umiatają  
 Poświstami wiatry;  
 Niech nam chleb i sól podają  
     Pioniny i Tatry!  
 Lećcie orły, proście gości  
     Na weselne gody:  
 Mchy siwiutki od starości,  
 Żywych źródeł wody,  
 Drobne, nikłe macierzanki,  
 Z pod krupiańskich stoków,  
 Mgły z Leśniczej, zwite w ktanki <sup>1)</sup>  
     I słonko z obłoków;  
 Górską ścieżkę — tanecznice,  
 Górską dziatwę — jodły,  
 Jasnookie błyskawice,  
     Coby orszak wiodły.

<sup>1)</sup> Ubiór głowy rusinek.

Gęślarz — echo się odzywa,  
Szumi las dokoła...  
Sokolico! matko siwa,  
Przeżegnaj nam czoła!

## VI.

Na szczytach.

Tatrzańskie stoki w ziołach toną,  
I noszą odzież rozkwieconą,  
Na mchu stawiają stopy bose,  
I traw oddechem piją rosę...  
    A wyżej kamień nagi błyska,  
    Szumiące źródło wrą z urwiska,  
    Lecąc ożywczą w dół kaskadą,  
    Z jasnością świeżą, srebrną, bladą...  
Szczyt zasię białe pienia śniegi,  
Jak puhar, pełen aż po brzegi,  
Złamanym błyskiem słońca miga,  
I wiecznym chłodem w lód zastyga...  
    Wędrowiec w niżniach zrywa kwiaty  
    I piersi krzepi świeżą wonią;  
    Na połoninie zdrój skrzydlaty,  
    Jak ptaka w locie chwyta dłonią;  
Aż gdy lodowe gór widziadło  
Tchem swym zastudzi krew na szczycie,

Wtedy się pyta z twarzą zbladłą:  
 »Życie! gdzie jesteś, ciepłe życie?«

\* \* \*

Wierchy! wy wierchy zamrożone,  
 Na dyamentową gór koronę,  
 Posępne siostry czarnej chmury,  
 Wy nie jesteście sercem góry...  
 Prąd, co z rodzinnej bije ziemi  
 Tętnami młodych sił żywemi,  
 Wam nie przenika piersi drżeniem  
 I nie zajmuje krwi płomieniem...  
 Zastygłe w bieli, niskim stokom  
 Ciężycie masą granitową,  
 I zimną, trupią waszą głową  
 Dech zamrażacie tym obłokom,  
 Co deszcz wiosenny ziemi niosą,  
 I plony pracy krzepią rosą...  
 Gdy burza siecze wasze ciało  
 I piorunową kryje szatą  
 Lodowisk waszych płachtę białą  
 Ponad góralską widzę chatą  
 I drzę, i pytam przerażony:  
 Ach! naco góróm te korony?

## VII.

### Rabsztyn.

Słuchaj mnie bracie! nie to jest ruina,  
Co gzemsy swoje osuwa zemdlone  
Na białych kolumn głowice pieszczone,  
Po których pajak sieć szarą rozpina,  
Nie to, co skrzypi pod twemi stopami,  
Dech tłumi pyłem, rdzą surową plami,  
Z rąk się wilgotna ślizga, jak gadzina,  
Nie to, gdzie straszy loch czarnemi usty,  
Gdzie strop, przyémiony grobowemi chusty  
Pleśni, zaledwie barwy swe wspomina;  
Nie to, gdzie wiązań osłabłe ramiona  
Podźwignąć nie chcą baszty, która kona  
Boleścią matki nad mogiłą syna,  
Nie to, gdzie duchy pokutne się włóczą;  
Nie to, co dziatwę wychowuje kruczą,  
Nim wielka orłów wybije godzina;  
Gdzie kamień zdradza i z pod nóg ucieka,

Gdzie się zniszczenie w ciało przyobleka...  
Wierz mi, mój bracie, nie to jest ruina!

\* \* \*

Czy widzisz tłum ten, co śmiechem znieważa  
Echa drgające w zakątach zameczyska?  
Co przybiegł tutaj szukać widowiska  
I z za szkieł groby obliczać cmentarza?  
Ten tłum, co nędze swoje i śmieszności  
Aż tu, pod słupem dziejowym przeszłości  
Rozkłada, nakształt miejskiego kramarza...  
Z myślą, motylej i treści, i wagi,  
Palcem dotyka, gdzie skielet drży nagi  
I dźwięki bruków w świątyni powtarza.  
Ten tłum, którego piersi nie goreją  
Żadnem wspomnieniem, i żadną nadzieją,  
Jako wygasłe ognisko nędzarza,  
Niedzolen chęci rozdmuchnąć w grom czynu,  
Nad gmin wzniesiony, a niższy od gminu,  
Wobec tradycyi i wobec ołtarza;  
Ten tłum, ze wzruszeń odarty, wyzuty,  
Pusty, przeżyty, wyczerpany, struty,  
Co szalę dziejów do zguby przeważa  
W którym skreń ducha grom chyba rozpali, —  
Ten jest ruiną!...

Bracie, pójdźmy dalej.



## VIII.

W Jaworkach.

Ej wy góry, mgławce góry,  
Zakłęte dokoła!  
Myśl orlemi leci pióry  
Na wasze przyczoła,  
I z jaskółką skrzydła macza  
W srebrnej rozpadlinie,  
Z dziką kozą skok zatacza,  
Z echem w dali ginie.

\* \* \*

Mnieby zamek mieć kamienny,  
Jak Drubażka szumna!  
Jar pod koszar, jak Stos senny,  
Jak Litenbar — gumna!  
Kwiaty rwać mi na Podskalu,  
Paprocie na Graniu!  
Na Prechybie łąy z opalu  
Zbierać o zaraniu.

W niżnie szare już nie wróćę!  
 Z orłami polecę...  
 Z mgły przepaściom mosty rzucę,  
 Wzrokiem je rozświecę,  
 Mchy, stóp ludzkich nieświadome,  
 Zgniotę w srebrne ślady.  
 Pójdę, gdzie błyski ruchome  
 Wschód rozpala błądy;  
 Skąd ucieka, bijąc w skały,  
 Potok rwący, dziki,  
 Pójdę; będą mi śpiewały  
 Brzęczące kamyki.  
 Rozbłękitni się nad wodą  
 Widnokrąg daleki,  
 Górskie echa chór zawiodą,  
 Zaszumią smereki.

W przepaść rzucę bóle ziemi,  
 Myśl skąpię w lazurze;  
 Z obłokami słonecznemi  
 Rozbłysnę się w górze.  
 Róg mi dajcie! róg pastuszy,  
 Pieśnią się zabawię...  
 Niech połowę tęsknej duszy  
 W górach tu zostawię!



## IX.

### Na Dunajcu.

Lecimy!... on mnie w swoje pochwycił ramiona  
I runęliśmy w przepaść z skalistego proga...  
A fala, żarem piersi mojej przenikniona,  
Modrym słupem bryznęła, aż w niebo, do Boga,  
Skrytego za sklepieniem swoim tajemniczem...  
Za nią poleciał krzyk mój, pytaniem nabrzmiały,  
I potracił błękity, i powrócił z niczem...

\* \* \*

I runęliśmy w przepaść... najskrytsze szczeliny  
Rozdniały od strzał srebrnych, które puścił z sykiem  
Dunajec, przez granitów zwałonych odłamy;  
I wszystkie przemówiły dziwacznym językiem  
Jakiejś pełnej burz, wstrząśnień, przeddziejowej dramy;  
I zaczęły się skarżyć cicho, jako starce,  
Którym czi nie wyrządza wnucze pokolenie,  
I o których niewdzięczne zapomniały syny...

\* \* \*

Precz łódka! i ty, wiosło! Niech w szalone horce  
 Pochwycą mnie tej fali stalowe pierścienie!  
 Jak delfin, w modrych toniach splewię grzbiet mój ślizgi,  
 Czołem rozbiję pianę skroploną na bryzgi,  
 I w powietrzu ustami zdmuchnę te opale!...  
 Ha, co tak wre? — krew moja, czy Dunajca fale?...

\* \* \*

Przylegam do wód piersią, jak strzała do łuku;  
 Ich pośpiechem zdyszany, ich tętnem kipiący,  
 Mieszam bezwiedny okrzyk do gromkiego huku,  
 Od którego brzeg skalny drży, jako reduta,  
 Ogniem podminowana i dymem zasuta.  
 Tajne prądy nurtują do dna potok rwący,  
 Jak pierś moją namiętne, tłumione porywy...  
 Ja wyciągam ramiona, jak jeździec tej fali,  
 I naglę ją do biegu, i chwytam się grzywy  
 Srebrnej mego rumaka, i pędzimy dalej...  
 O! dalej!... chciałbym uciec od brzegów tych ciasnych  
 I lecieć tam gdzie księżyc wschodzi zadumany,  
 I o rąbki tych chmurek, od gwiazd łuny jasnych  
 Oprzeć skrzydła — i spocząć, jak orzeł ścigany!

## Klaudia.

### I.

Wczesnym się rankiem Roma ze snu zrywa...  
Od Awentynu leci wieść straszliwa  
I wiecznem miastem zgroza wstrząsa blada...  
— Wielcy bogowie! deszcz kamienny pada!  
Strzaskanych głązów zgrzyt w powietrzu słychać,  
Lecą — i zemstą zdają się oddychać...  
Wschód zakrwawiony z za Tybru wyziera,  
Niby płomienna zniszczenia bandera;  
Ciężkie chmurzyska nad miastem się wloką.  
A jakby Jowisz kamienną opoką  
Tron swój wieczysty druzgotał na szczęty,  
Takie się wałą granitu odłamy  
Na place miejskie, na forum, u bramy,  
Tocząc się z mostu w Tybrowe odmęty,  
I barykady dziwne w oka mgnieniu  
Wznosząc w ulicach, kamień po kamieniu. —  
— Barroniusz pójdzie kiedyś do okopów,  
Nazwać te głązy »budową Cyklopów«.

Zamęt, ścisk, trwoga... lud tłoczy się, krzyczy,  
 Pomnaża ciżbę zastęp niewolniczy,  
 Który, jak zwykle, dzień publicznej klęski  
 Już brał za odwet krzywd swoich zwycięski...  
 — Gniew bogów, choćby nawet gniew kamieni,  
 Ma sprzymierzeńców, gdzie są uciśnieni.  
 Rzuca miękkiego triclinium wygodę  
 Lelius, w pół ledwo utrefiwszy brodę;  
 Kliten wybiega, zdyszany, bez wieńca;  
 Lucynie braknie kupnego rumieńca;  
 Tryfoniusz opak chlamidę nakłada;  
 A wszyscy krzyczą: biada! biada! biada!...  
 Eheu! eheu!... o Jowiszu grzmiący!  
 Rozmarszcz brew swoją, która bogi kruszy,  
 I wskaż, jakimi ofiary dymiący  
 Ołtarz ci podnieść?« —

Tak modlą się w duszy

Obywatele Romy; strach przygina  
 Kark, choćby twardy, jak kark Rzymianina.

## II.

— »Do ksiąg sybilskich pośpieszcie kapłany,  
 Wróżby z pod klamer dostańcie dwunastu  
 I w nich czytajcie, czem zagraża miastu  
 Cud ten złowrogi, cud ten niesłychany?

Ty, ludu, czekaj! pierś twa bez oddechu  
 Niechaj przynagła kroki ich skwapliwe...  
 Hermesie! boże skrzydlaty pośpiechu,  
 Bądź z nimi!«

Lecą godziny straszliwe  
 Oczekiwania... mdleją w sercach tętna;  
 Ciężba dysząca, trwożna i namiętna,  
 Na przód podana, jako morska fala  
 Prze się pod samo wzgórze Kwirynala.  
 Otwarte usta, płonące źrenice  
 W lot chcą pochwycić wróżby tajemnicę.  
 Naraz — dreszcz przebiegł tłumy... między zgrają  
 Podniósł się okrzyk: »wracają!... wracają!«  
 Z odkrytą głową wszedł augur na wzgórze,  
 Kreśląc hieroglif laską swoją krzywą,  
 A wrzawy tłumów zażegnawszy burzę,  
 Tak mówił mową dziwnie przenikliwą:  
 — »O ludu rzymski! ten deszcz granitowy  
 Wieszczy nam ciężkie klęski i niedolę.  
 Może Numidy rzucą step jałowy  
 I przyjdą nasze zaorywać pole...  
 Może Etruski sztuką jaką zdradną,  
 Lub inne wrogi w bramy miasta wpadną...  
 Może Kampania urodzi bliźnięta:  
 Głód i mór blady... może... o! przekłeta  
 Głowa ta siwa, co wam klęski wróży!«  
 To mówiąc, starzec, palce swe zanurzy  
 W srebrzystej brodzie, a rwąc ją w żalobie,

Za wieszczby swoje zlorzeczy sam sobie.  
 Tłum jęknął głucho, jakby ujrzał z dala,  
 W jasnowidzeniu, hufce Hannibala.

Wtem drugi augur zadumany kroczy:  
 W księdze Sybilli utopione oczy  
 Podniósł powoli, i spojrzął dokoła,  
 I rzekł: »Rzymianie! rozjaśnijcie czoła!  
 Oto co wróży księga prorokini:  
 — Gdy nieprzyjaciel jarzmo na was czyni,  
 Gdy głód ogryza kości własnych dzieci,  
 Gdy mór na skrzydłach zaraźliwych leci,  
 Romie zbawieniem od śmierci i wrogów  
 Będzie Idea, wieczna matka Bogów,  
 Którą Pessinont w świątyni swej chowa«. —  
 Zaledwie augur wymówił te słowa,  
 Tłum jako morze, chłostane przez burze,  
 Zawrzał, zahuczał — i tak ścisnął wzgórze,  
 Jakby w objęcia chciał je wziąć z kapłanem...  
 A kapłan powiódł okiem zadumanem  
 Po ciżbie — i rzekł:

— »Lecz tylko w ramiona  
 Męża, co w piersiach ma serce dziewicze,  
 Zejdzie z ołtarza bóstwo tajemnicze...  
 Kto się niegodny dotknie doń — ten skona«.



A tłum się cofnął milczący — i w ciszy  
Liczy się z sobą. — Ludu! Jowisz słyszy!

## III.

Jest w Rzymie młodzian, czysty jak dziewica;  
Lat mu dwadzieścia cztery już dobiega,  
A piękność niewiast co żądze podżega,  
Nigdy płomieniem nie pali mu lica,  
Nigdy w nim mętnych pożądań nie budzi;  
Jak bezcielesny duch żyje wśród ludzi...  
Czoło ma jasne, jak dziewczyna młoda,  
Z oczu mu patrzy cisza i pogoda,  
Ust jego usta nie tknęły płomienne...  
A jakieś mgliste obrazy współsenne,  
Którymi rozkosz wabi go z daleka,  
Odpycha, jako niegodne człowieka.  
Gdy tęskni — pieśń mu starczy do zabawy;  
Kocha Rzym, braci i nadzieję sławy...  
Toż gdy, po tajnej z sumieniem naradzie,  
Senat w dwie urny gałki losów kładzie,  
W głos jeden buchnie ciżba niezliczona:  
»Scypiona chcemy! Scypiona! Scypiona!...  
On niech do Frygii poprowadzi flotę,  
I Attalowi skarby szczerozłote,

Medymny zboża i szat drogich mnóstwo  
 Niech odda w zamian za ochronne bóstwo.  
 Nigdy godniejsze nie tknęły ramiona  
 Żadnej bogini... Wyszlijcie Scypiona!«  
 Nie wiem, czy zacni brodacze w senacie  
 Wyborem takim byli ucieszeni...  
 Senon, Papinian, lekko się rumieni...  
 Lecz nie z zazdrości, — mylisz się mój bracie —  
 Tak niskich uczuć nie pokrywa toga;  
 Zresztą — głos ludu był już głosem Boga.

#### IV.

Kryształnym szlakiem od Ostii przez morze  
 Lekka flotylla srebrną brózdę porze;  
 Białe jej żagle, brzeżone purpurą,  
 Jak skrzydła mewy trzepocą się górą,  
 Tchnieniem swem nagłąc statek w chyżym biegu...  
 Z wiosel pryskają piany naksztalt śniegu.  
 Wpół obnażeni atleci wioślarze,  
 Ruchem kolejnym chyląc się po parze,  
 Wznoszą ramiona żylaste, drgające,  
 Które w bronz żywy przepaliło słońce;  
 A fala gniewna, jak rumak stepowy,  
 Co poczuł nagle uzdę i podkowy,

Żuje wędzidła, srebrną parą bucha  
 I drży — i parska — przecież jezdźca słucha...  
 O! śpiesz, Scypionie! o, śpiesz! niech widomie  
 Zagości bóstwo w zrozpaczonej Romie,  
 Niech ją prawicą wyciągnioną strzeże!...  
 Już tłumy ludu zaległy wybrzeże,  
 Jak przyplływ morza hucząc niecierpliwie...  
 Augur z dala wzniosł czoło sędziwe  
 I rzekł: »o ludu! tyś na całym świecie,  
 Jak mąż potężny, a słaby — jak dziecię!« —

Valerius Falton o wspaniałej brodzie,  
 Którą w senacie podczas obrad głodzi,  
 Orszak Rzymianek dostojnych prowadzi,  
 Przodując zacnie w poważnym pochodzie.  
 Gdy statek piersią z brzegami się zetrze  
 I krzyk radosny rozegrzmi powietrze,  
 Domowych ognisk kapłanki te czyste  
 Z pokładu wezmą bóstwo tajemnicze  
 I nieść je będą w miasto wiekuiste,  
 Rąbkiem szat białych zakrywszy oblicze...

N. 1195  
 SZKOLNEJ.

\*

\*

Tłum dech wstrzymuje. — Patrz! prosto, jak strzała,  
 Płyną tu... widać już żagle i wiosła;

Mglista flotylla mknie, jak gdyby rosła,  
 W oczach tężeje i nabiera ciała.  
 Już na pokładzie dojrzeć może oko  
 Młodzieńczą postać smukłą i wysoką —  
 To Scypion!

## V.

Cóż to? — opodal jak kwiatek,  
 Rzucony w wodę w zadumy godzinie,  
 Lub jak perłowa koncha, lekko płynie  
 Jakiś nieznany, drobny, nikły statek...  
 Numid zsiwiały na żarach pustyni,  
 Numid na wietrze gorącym spalony,  
 Drogę mu krętą poprzez fale czyni,  
 Pluskając lekko wiosłem w obie strony,  
 Jakby igraszki przypomniał chłopięce.  
 W łodzi, niedbale zwiesiwszy na ręce  
 Główkę ciężącą bogactwem warkoczy,  
 I w morzu czarne utopiwszy oczy,  
 Klęczy wpatrzona w głąb toni żeglarka.  
 Nie wiem, czy na dnie liczy piasku ziarka,  
 Czy drobnych rybek śledzi korowody,  
 Czy jak w lustro patrzy w szklane wody:  
 Lecz gdzie spojrzenie jej w fale zapadło,  
 Morze odbiło gwiazdy, jak zwierciadło.

Prawe jej ramię nagie aż do spinki,  
Co pierś zakrywa tuniką Greczynki,  
I lunę złota rzuca na jej ciało,  
Z łodzi zwieszono: a przez dłoń jej białą  
I drobne palce morze, szemrząc, pluska,  
I tak się marszczy, jako modra łuska.

Lecz nagle, niby ze snu rozbudzona,  
W stronę flotylli zwróciła swą głowę,  
I oczy duże, oczy opalowe,  
Utkwiła, milcząc, w źrenicach Scypiona.  
Coś się w powietrzu zmieszało... czy fale  
Rozkryły na dnie perły i korale;  
Czy nenufary rozkwitły u brzegu;  
Czy gdzieś syrena plusnęła się w biegu;  
Czy żagiel zadrgał, jako pierś człowieka;  
Czy drobna rybka przed siecią ucieka;  
Czy gdzieś Najady zaplotły się wieńcem;  
Czy srebrne piany spłonęły rumieńcem...  
Któż zgadnie?... Scypion usty spragnionemi  
Chwycił powietrza głęboko... głęboko...  
A potem zadrzał i spuścił ku ziemi  
Dziwnemi żary pałające oko.

## VI.

Jeszcze za wiosłem rozprysnięte pianki  
 Gasły w powietrzu, w tęczącej iskierce  
 Zwierciedlac ciche, przejrzyste błękity,  
 Gdy okręt wstrząsł się i stanął, jak wryty.  
 Przekleństwo!... Scypion poczuł, że ma serce,  
 Bijące żądzą dla ziemskiej kochanki!  
 Próżno wiosłarze, jak łuki wygięci,  
 Chłuszczą wiosłami obumarłą falę,  
 Próżno z wód krzeszą iskry i opale;  
 Okręt się w lewo, to w prawo zakręci,  
 Przechyli, zadrgnie i znów nieruchomy,  
 Jak fatum, wróży zagubę dla Romy.

— »Na barkach własnych wynieśmy boginię!  
 Choćby po trupach, ktoś przecie dopłynie  
 I miasto zbawi!... Kto się na śmierć waży?«  
 Dwóch, trzech, dziesięciu rzuci się żeglarzy  
 Tam, gdzie bogini, w swej bieli kamienna,  
 Żrenicą z głazu patrzy, niby senna,  
 Niby pochmurna, niby zadumana,  
 Na spłonionego rozkoszą młodziana.  
 Hanon wyciągnął ramię gladiatora  
 I dotknął białej draperyi... wtem, nagle,  
 Grom huknął w maszty — i świszcząc zdarł żagle...

Hanon padł martwy, oczyma upióra  
 Wpatrzony w bóstwo, nad którego czołem  
 Węże błyskawic zaplotły się kołem,  
 Rzucając lunę ognistą, czerwoną,  
 Na brew zmarszczoną i kamienne łono.

Przez tego trupa z obliczem zczerniałem,  
 Co drogę wpoprzek zawalił swem ciałem,  
 Nikt nie śmiał dłoni ściągnąć; a wśród ciszy  
 Słysząc, jak piorun warczy, grozi, dyszy...  
 — Niechaj śmiertelny zmazy swej się lęka;  
 Bowiem grom dzierży wiekuista ręka.

## VII.

Z brzegów tymczasem wrzawa się podniosła:  
 Krzyki powietrze sieką jako wiosła;  
 Piersi, jak żagiel statku, wzdyma burza;  
 A lud, jak odmęt, prze się, kipi, nurza,  
 I wre, i szumi, i pryska w przestworza  
 Pianą unlesień. — Augur z oddali  
 Spojrzy i rzecze: »oto są dwa morza,  
 Lecz spokój mędrców jest po stronie fali«.

Rzucając w koło spojrzenia sokole,  
 Valerius dojrzał drobną, nikłą barkę  
 I pogrążoną w zadumie żeglarke,  
 Która się własnym marzeniom uśmiecha...  
 A jej przepaska, puszczone na wodę,  
 Z wiatrem się niesie, jak skrzydła motyla...  
 Dojrzał i szepnął: »Klaudia...«

Była chwila

Ciszy wśród tłumu po tym szepcie; echa  
 Tylko nadbrzeżne, miękkie i pieszczotne,  
 Szepnęły: »Klaudia...« i umilkły drżące,  
 Jakby to imię miało samo z siebie  
 Jakieś oddźwięki namiętne, palące,  
 Od których wędzną kwiaty i wilgotne  
 Rosy zajmuje płomień, a na niebie  
 Gwiazdy blednieją i lecą strącone...  
 Lecz chwila była krótką; oburzone  
 Matrony rzymskie spojrzały zjadliwie  
 Na tę samotną i na tę niedbałą  
 O świat, i ludzi, i wrzawę ich całą,  
 Na tę milczącą dumnie i wzgardliwie...  
 I wnet za pierwszej Lucyny przykładem,  
 Ostre przymówki sypnęły się gradem:  
 — »Klaudia bez grona niewolnic wychodzi...«  
 — »Klaudia, w kosztowne przybrana tkaniny,  
 Z głową odkrytą, jak miejskie dziewczyny.  
 Z jednym Numidem zasiada do łodzi...«  
 — »Wszak na ozdobę żeńskiemu strojowi



Pół uncyi złota *Lex Oppia* stanowi;  
 A Klaudya depce krajowe ustawy:  
 Złoto w przepasce w trójnasób przeważa...«  
 — »I dziś, dla godnej zalotnie zabawy,  
 Sama w tej barce płynąć się odważa...«  
 — »Gdy płocha młodzież wielbi wdzięki marne,  
 Oczu nie spuszcza, nie rumieni lica...«  
 — »Męża za pana nie zna, niewolnica...«  
 — »Śmie w niebo zwracać oczy swoje czarne,  
 Jakby pytała u Bogów zuchwale,  
 Czy sprawiedliwie dzierżą losów szale...«

Słów tych słuchając, Falton ręką białą  
 Przyglądził brodę i rzekł: »Na Jowisza!  
 Wiem ja, skąd morzu ta niemoc i cisza...«  
 Jeszcze nie skończył, już w ciżbie zawrzało...  
 Wskazał na łódkę — a oto wnet z tłumu  
 Wyleciał kamień, ciśnięty jak strzała...  
 Wyleciał, świszcząc i wśród fali szumu  
 Tak się trzepotał, jakoby jaskółka,  
 Lecąc nad wodą, pióra w niej maczała.  
 Padł; a tuż po nim rozbiegły się kółka  
 Po drżącej wodzie, coraz szerzej, dalej,  
 W krążki i kręgi ciemne, aż na fali  
 Wielka się plama czarniawa wylęgła,  
 I steru barki bokiem swym dosięgła,

I objęła je zmaconemi prądy,  
 Rzucając na nią cienie jako trądy.  
 Augur zadrzał i rzekł: »Wielkie Bogi!  
 Widziałem dzisiaj sądów ludzkich drogi«.

## VIII.

Zaledwie morze wygładziło lica,  
 Padł drugi kamień jak zatruta strzała,  
 I przyniósł z sobą słowo: »Zalotnica!  
 Głośnie, syczące. — Żeglarka powstała,  
 Strząsając z szaty rozbryzganą pianę,  
 I obracając oczy zadunane  
 Na brzeg, gdzie ryczał tłum, wściekłością zdjęty,  
 Białą kwiat z włosów rzuciła w odmęty,  
 I rzekła: »oto broń moja jedyna...  
 Widzę tu sędziów — ale gdzie jest wina?«  
 Słowa jej z fali zmieszały się szumem  
 I powróciły, w pół drogi odbite  
 Gradem kamieni; rozwścieczonym tłumem  
 Falton dowodzi; on najtrafniej ciska...  
 Patrz! kamień z rąk mu, jak z procy, wypryska  
 I trafia ramię żeglarki odkryte,  
 Przepaskę ciała dając koralową...  
 Porwał się Numid i jak lew zraniony,  
 Ryknął: pustynię wspomniał i swobodę...

I drgającemi czarnemi ramiony  
 Wyrwał maszt z łodzi, okręcił nad głową  
 I z świstem rzucił przez spienioną wodę  
 W sam środek tłumu.

Ruchem monarchini

Wstrzymała Klaudya dzikiego wioślارza.  
 — »Stój!« — rzecze — »Jowisz sąd nad ziemią czyni!...  
 Niechaj się słaby nigdy nie znieważa  
 Walką z silniejszym... chcę cierpieć dostojnie«.  
 A potem, wzniosłszy piękną głowę hardo,  
 I wodząc okiem po tłumie z pogardą,  
 Wsparła na sterze rękę swą spokojnie  
 I rzekła: »Wielki ojców moich Boże!  
 Sądź mnie tu, teraz, wobec tego ludu.  
 Jeślim się żadną nie zmazała winą,  
 Ty spotwarzonej daj świadectwo cudu;  
 Niech za mym pasem, rzuconym na morze,  
 Wstrzymane statki do brzegu dopłyną!« —  
 Rzecze — i z bieli szat swoich powiewnych,  
 Szarą błękitną, tkaną w gwiazdy złote,  
 Niewolnic z Tyru przedziwną robotę,  
 Zwolna odwija.

Cisza, jak w świątyni,  
 Zalega brzegi... tylko gdzieś z daleka  
 Konają resztki jakichś szmerów gniewnych,  
 Jak echa burzy. — Jowisz sądy czyni...  
 A niech śmiertelny pomsty nie docieka!...

## IX.

Z ostatnich węzłów pas Klaudyi rozwity  
Zadrzał od wiatru, czy od bicia łona...

A w chwilę potem żeglarka wzruszona,  
Promiennym wzrokiem wpatrzona w błękity,  
Szepcąc: »o bogi!... spełnijcie przysięgę!...«  
Rzuciła w morze lazurową wstęgę,  
Widną na falach, jako mleczna droga  
Od pokrzywdzonej do sędziego — Boga.

Okrzyk namiętny podniósł się z okrętu;  
To głos Scypiona... buchnęły płomieniem  
Piersi młodzieńcze... wyciągnął ramiona —  
I — jednym falę zmierzywszy spojrzeniem,  
Jak stał, tak skoczył, i znikł wśród odmętu.  
Morze! dzień Zamy blizki!... strzeż Scypiona!

Tłum zawrzał głucho, wstrząsany koleją  
Dreszczami zgrozy i cudu nadzieją...  
A taka cisza wybrzeże zaległa,  
Żeś słyssał chwilę tę, jak w wieczność biegła.  
Dziwna to cisza! słychać serca bicie,  
Szelest krwi w żyłach i oddechu drzenie.

I jako struna prężące się życie,  
I wszechpotężną wymowę — milczenie.

## X.

Piersią drgającą odtrącając piany,  
I szturmem biorąc każdy cal przestrzeni,  
I szlak przed sobą pięścią bijąc szklany,  
Za sobą krzesząc snop drogich kamieni  
I brózdy znacząc wskróż morza tęczowe,  
Dopływa Scypion do łodzi.

Wzniósł głowę

I patrzył chwilę, płomienny i blady,  
W czarne źrenice milczącej żeglarki.  
A potem wyrzekł: »wierzę!« ... i owinał  
Rzuconą wstęgą rękę, i od barki  
Potężnym rzutem zwróciwszy się, płynął  
W spienione jeszcze poza sobą ślady.

Blisko już... bliżej... wyciągnione ramię  
W dwoje ostatni bałwan wody łamie;  
Ostatnią przepaść ziejącą zwycięża,  
Dosięga liny, chwyta ją, wypręża

I wiąże do niej błękitną przepasę,  
 I falom rzuca na łaskę, niełaskę...  
 Drżycie! . . . Sąd Boga! . . .

\*

\*

Schwytany za skrzydła

Ciszą śmiertelną, okręt, jak ptak dziki,  
 Pojman w zdradzieckie, kryształowe sidła,  
 Miota się, zrywa, drży . . . tłumy okrzyki,  
 Który, jak wulkan, lawą szału bucha,  
 Niecą widomie jakiś zapal męski  
 W rzeczy tej martwej, co zda się mieć ducha,  
 I lekko, chyżo, pochód swój zwycięski,  
 Jakby stęskniona do brzegów i ziemi,  
 Przyśpiesza, wiejąc żaglami białemi.

»Klaudia!« tłum krzyczy, »Klaudia niech bogini  
 Z białego kwiecica ofiarę uczyni!« . . .  
 — »Klaudia niech orszak dziewiczy prowadzi!« . . .  
 — »Evoe! Klaudia! . . . szlijmy do niej posła!« . . .  
 Valerius Falton piękną brodę gładzi  
 I rzecze: »Płyń, niech podają wiosła!  
 A tam na falach cicha, nieruchoma,  
 Ze złożonemi na piersiach rękoma,

W chwiejącej łódce bez masztu, samotna,  
Błądząc myślami poza tłum wrzawą,  
Stoi żeglarka. Żrenica wilgotna  
W przestrzeń gdzieś patrzy wpół dumnie, wpół łzawo,  
I widzi może przysłych wieków ruchy  
I sprawiedliwość, pojętą przez duchy.

## Idylla.

Na wiosnę wśród braci słowików i róż,

Idylla wstaje...

Powojem ukwieca zielone tła wzgórz,

Konwalia gaje...

Nad rzeczką w wilgotnych oparach, we mgle,

Zasiada z fletnią,

I kwiaty uśpione w miłosnym pół-śnie,

W noc budzi letnią.

W poranku z skowronkiem jednoczy się w chór,

Śpiewając; »ave!«

I zbiera o wschodzie z obrąbków tych chmur

Blaski jaskrawe,

I z rosy perlami w dyadem je tka

Na pasku tęczy,

W porannym pacierzu pastuszka lżą drga

I cicha klęczy...

Aż zerwie się bujać po lesie, jak ptak,

Z wierzchów na wierzchy;

A za nią promienny posuwa szlak,

Rozjaśnia zmierzchy.



Draperyą przejrzystą, jak dźwięk i jak woń,  
     Owija ciało,  
 I wianek wesela przypina na skroń  
     Słoneczną strzałą.  
 Schylona nad źródłem rozplywa się w śmiech  
     Swawolnej dziewy,  
 I wróży z kukulką i ginie wśród ech  
     Pomiędzy drzewy.  
 Przez kamyk, co drażni kryształy tych wód,  
     Mknie jak kaskada...  
 Z klekotem bocianów ciągnących z nad błót  
     Na dach twój spada.  
 Gdzie jabłoń różowy rozpuszcza już pąk,  
     Patrzy z zieleni...  
 I rada się kładzie na puchu twych łąk  
     Smugą promieni.  
 Czaruje fujarki, poddając im ton  
     Przeciągły śpiewny...  
 Na starej cerkiewce rozdźwięka, jak dzwon,  
     W hymn rośnie rzewny...  
 Aż z trzaskiem łuczywa do chaty, jak duch,  
     Na chwilę wpada,  
 I mrozi ci serce, i pieści twój słuch  
     Dumka, ballada...  
 I ducha twojego nawiedza, jak gość  
     Z krainy cudu...  
 Orzeźwia w omdleniu i mówi łzom: »dość«,  
     Wyjarzmia z trudu.

Stepowym powiewem przeciąga przez świat,  
Wieszczka przyrody,  
Zaprasza myśl twoją, i gwiazdę, i kwiat  
Na wspólne gody.  
A gdy ją odpędzasz od złotych swych bram,  
O synu wieku!  
Ucztuje z słowikiem — a ty jesteś sam  
W miast brudnym ścieku.

Ja lecę z obłokiem, gdzie wiosna, gdzie maj,  
Gdzie serca święto,  
Nim ptaszki ucichną, nim zmierzchnie ten gaj,  
Nim łąkę zżęto...

Po burzy.

O Panie! Ty po burzy dajesz tęczę światom,  
Podnosisz słabe główki pochyłym kwiatom,  
Rozwijasz skrzydła ptasząt i ostatnią chmurę  
W rozjaśnionego słońca przystrajasz purpurę...

\* \* \*

Do jutra cicha wioska ochłonie z przestrachu:  
Ktoś wesprze zgiętą jabłoń, ktoś krokwie na dachu.  
I zanim młoda jutrznia z wschodu się wynurzy,  
Szczęśliwi wsi mieszkańcy zapomną o burzy.

\* \* \*

O Panie! Ty koniecznie żywiołów niesnaski  
Z oblicza ziemi ścierasz prawicą swej łaski,  
I nie zostawisz śladu klęski albo troski,  
W przejrzystych sferach ciszy, gdzie masz tron ojcowski.

\* \* \*

Ach! czemuż w piersi ludzkiej, rozbitej od gromu,  
Zamiast ciszy i tęczy jasnego pierścienia,  
Pozwalasz, aby grzmiały głucho, pokryjomu,  
Echa burzy duchowej, trujące wspomnienia?

## Anioł milczenia.

Z lutnią, po której złote struny biega,  
Klęczę na rąbku szaty Najwyższego,  
I białe czoło obracam w tę stronę,  
Kędy wirują globy rozpędzone.  
Przejrzystą dłonią wyglądam etery,  
Echem miarkuję rozśpiewane sfery,  
By nie przerywać ciszy majestatu...  
I — pokój... pokój... pokój! szepeć światu.

Byłem, gdy z myślą Bóg rozmawiał własną.  
Byłem, gdy w służbę wziął jutrzeńkę jasną,  
Byłem, gdy z mgławic, co mu zdobią szaty  
Strząsał dzień biały i słoneczne światy.  
W pierwszym zwierciedle błękitnego morza  
Jam się przeglądał, zanim weszła zorza,  
I zanim z pąków wytrysnął rój kwiecia,  
Ja w rąbku niosłem pokoju stulecia.

Tam, kędy z okiem opuszczonem stoję,  
 Dogrzmieć nie mogą ziemi niepokoje;  
 Żywiołów burze ja trzymam w granicy,  
 Bom jest skinieniem wszechmocnej prawicy.  
 Kiedy nad zakres do przyszłości biegą  
 Harde pytania: »poco? i dlaczego?«  
 Ja w białych palcach wstrzymuję zasłonę,  
 Którą od dzisiaj jutro oddzielone.

\* \* \*

Między błysk gromu a grzmot stopę stawię,  
 I rosą polnym kwiatom błogosławię.  
 Na skrzydłach moich wioskę twą kołyszę,  
 Smutnych łzy liczę i westchnienia słyszę...  
 W ciszy twych gajów, w poranki majowe,  
 Tęsknem dumaniem poświęcam twą głowę  
 I ducha twego prowadzę po niebie,  
 Byś, »siadł i zamilkł i wzniosł się nad siebie«.

\* \* \*

Ja płaszcz królewski rzucam na ramiona  
 Milczącej nędzy, co w ukryciu kona,  
 A dłoń wychudłą podnosząc z barłogu,  
 Samemu tylko spowiada się Bogu.  
 Ja balsam daję na palące rany.  
 Ja dźwigam z tobą ból niepodzielany,

Ja tułaczowi pot ocieram z czoła  
I z samotnikiem zasiadam u stoła.

\* \* \*

Mędrca mądrością jestem i rozwagą,  
Myślicielowi daję prawdę nagą;  
A jako źródło, bijące od wieka,  
Wzmagam, oczyszczam, podnoszę człowieka...  
Jam jest wymową grobów i cmentarza,  
Urokiem nocy, powagą ołtarza;  
Jam jest rapsodem dziejowym ruiny,  
Pociskiem wzgardy i rumieńcem winy.

Kto mnie ukochał, znalazł skarb pogody,  
Pokoju ducha i ciszy i zgody;  
Zgiełkliwa zgraja pierzcha i ucieka  
Od milczącego w zadumie człowieka.

Ja jestem słońcem, pod którego żarem  
Dojrzewa zamysł, i jam jest ciężarem,  
Którego słabi podźwignąć nie mogą...  
Jestem potęgą, której zdeptać nogą  
Nie podolają najwięksi mocarze...  
Ja jestem siłą, co zniewagę karze...

Jam broń niewinnych i pomsta straszliwa,  
 Od której zbrodzień tajny dogorywa.

Nad popiołami zwyciężonych grodów  
 Otrząsam z skrzydeł nadzieje narodów,  
 Lecących w próżnię, jak wymietna plewa,  
 Którą wiatr przed się drażni i rozwiewa...  
 W bladych klęsk ślady postępuję krwawe,  
 Z nędznym skazańcem jedną dziełę ławę;  
 Na zgliszczach śpiewam Hiobowe pienia,  
 I jestem czarną chorągwią zniszczenia.

\* \* \*

Najbliższy Panu i najmilszy Panu,  
 Ja z perłą padam na dno oceanu,  
 I z ciszą morską odbywam narady,  
 Których z przestrachem słucha sternik błady.

Nad bojowiskiem wyciągam ramiona,  
 Jestem modlitwą tego, który kona  
 I jestem krzykiem matki, gdy przybieży  
 Odszukać syna wśród trupów żołnierzy,



I krew jej ścinam, i wstrzymuję tętna,  
I na niej żywej — trupa kładę piętna.  
A przy kurhanie, co zamknął dzień czynu,  
Ja stoję w miejsce pomników, wawrzynu,  
I tam, gdzie zimny dziejopis nie słucha,  
Stepom skon mężnych podaję do ucha.

Pod krzyżem Zbawcy, gdy wiara i miłość  
Rzuciły w żalu Golgoty pochyłość,  
Kiedy odchodził setnik do bram miasta,  
Gdy włos stargany wiązała niewiasta,  
Gdy noc zgłuszyła żołnierstwa okrzyki,  
A echa piły rozgwar ciżby dziki;  
Jam został jeden i słyszałem z drzeniem  
Jęk Boga... Ziemi! módlmy się milczeniem!

## Opowiadanie rannego.

Zimny poranek ocucił mnie rosą.  
Otwarłem oczy, próbując oddechu...  
Na piersiach moich głowę złotowłosą,  
Pełną młodzieńczych marzeń i uśmiechu,  
Trzymał towarzysz broni, chłopiec młody,  
Co padł już po mnie, a tak ciężko padał,  
Jak ścięte w lesie młodych dębów kłody...  
Ten, co mu w serce cios śmiertelny zadał,  
Miał oko wprawne i rękę tak pewną,  
Że chłopiec upadł i stężał jak drewno,  
Zanim konania chwyciły go dreszcze;  
Bo uśmiech rzewny miał na ustach jeszcze,  
I słówko jakieś nawpół wymówione;  
I tylko oczy ku niebu zwrócone,  
Matowym blaskiem świeciły w przestworze,  
Zdając się wołać: »umieram, o Boże!«

\* \* \*

Nie miałem siły usunąć tej głowy  
Z piersi zranionej... blask słoneczny, płowy,

Raził mi oczy zgryzione od prochu...  
 Chciałem je przetrzeć; poruszyłem ręką;  
 Krew mi się z rany rzuciła i cienką  
 Strugą uchodzić zaczęła potrochu...  
 Czulem, że jakoś ratować się trzeba;  
 Lecz myśl zmacona nie dawała rady...  
 Spojrzałem w górę, a na skrawku nieba  
 Były, jak gdyby rany i krwi ślady,  
 I chmurki, jako ciała rozciągnięte,  
 I dym, i oko Boga, zapalone  
 Gniewu pożogą, patrzyło na ziemię,  
 Jakby szukając miejsca do pocisku,  
 I tak leżałem na tem bojowisku,  
 Sam nawpół martwy.

Z lewej, z prawej strony,

Twarze poległych świeciły pod słońce  
 Białością śmierci okropną, zdrętwiałą...  
 A krew zakrzepła, jak koral czerwony,  
 Plamiła czoła, lub w sznurki błyszczące,  
 Jak szkaplerz śmierci, owijała ciało.  
 A cicho było tak w tem polu klęski,  
 Żem słyszał przelot jaskółek zwycięski,  
 Co się ponad niem ścigały z wietrzykiem...  
 A choć nie padło tam ni jedno słowo,  
 Cisza ta przecież zdawała się krzykiem,  
 I jakąś straszną sądów bożych mową.

W powietrzu drgnęło... przywabiony łupem,  
 Szumiąc skrzydłami, sęp wzniósł się wysoko,  
 I chwilę zawisł, jak całun nad trupem...  
 A jego krwawe i okrągłe oko  
 Błysnęło w górze straszne, pałające  
 Pomiedzy niebem a ziemią, jak słońce.  
 Spadł — i hakami szponów swych wszczepiony  
 W rozbitą czaszkę, szarpał dziobem krzywym  
 Mętną źrenicę trupa, nad nieżywym  
 Pastwiąc się, jakby zemstą był trawiony,  
 I znów się cisza nad polem obniosła  
 Olbrzymią skargą ust, zwartych na wieki...  
 A czarne kawki, jak płaczki z rzemiosła,  
 Jeły zawodzić z suchemi powieki  
 I tam leciały, gdzie słońce zapada,  
 Wołając chórem: »biada! biada! biada!«.

\*                      \*

W tem jęk się cichy ozwał z prawej strony.  
 Ktoś westchnął: »Allah!« i turban zielony  
 Uniósł się ponad stratowaną ziemią;  
 A za turbanem podniosła się głowa,  
 I pierś szeroka, i reszta tułowa.  
 Olbrzymi Nizam, z czarną jak noc broda,  
 Stanął i patrzył, jak umarli drzemią...  
 A potem chwiać się zaczął jak pijany,  
 Bo krew z odkrytej buchnęła mu rany,

Śmiertelną chustą czerwieniąc pierś młodą...  
 Więc zerwał kaftan z lewego ramienia  
 I zwinął rękaw i w ranę go wcisnął,  
 A w prawej ręce kindżał mu zabłysnął,  
 Jak nów, — był przecież bledszym od spojrzenia  
 Zmartwychpowstańca, co okiem tygrysa  
 Patrzy na trupy, zda się krew wysysa  
 Z rozbitych piersi wrogów Mahometa.  
 Do najbliższego schylił się atleta,  
 I tchu w nim szukał i znalazł go pono,  
 Bo mu pechnął kindżał w niezakrytą szyję,  
 I krwi wypuścił kaskadę czerwoną,  
 I wstał z uśmiechem, i szepnął: »nie żyje!«  
 I włókł się chyłkiem, krwawiąc własne ślady,  
 Płomienny pomstą, krwi utratą blady,  
 I szukał technienia, co w piersiach zamiera,  
 Tak przypadając cicho, jak pantera.  
 A gdy dosłyszał, że kto jęknął zcicha,  
 Że trup się ruszył, że drgnął, że oddycha,  
 Zrywał się z krzykiem szału i boleści  
 I kindżał w serce pchał do rękojeści.

\* \* \*

A był tak straszny, jak te mściwe duchy  
 Hunnów, co walczą aż po śmierci jeszcze.  
 Dzikiego zwierza miał zdradzieckie ruchy,  
 Upiora nocy źrenice złowieszcze;

Na czole, twarzy, krwi zakrzepłej strugi,  
 Ponure piętna trupiego uścisku,  
 I tak się wlokąc po tem bojowisku,  
 Nad śmierć groźniejszy, zabijał raz drugi.  
 Chwilami słabnął, przestawał roboty  
 I za pierś chwytał, i chwiał się, i mienił;  
 Czoło śmiertelne rosily mu poty,  
 Kaftan krwią z rany przesiąkł i czerwienil  
 Pas, co mu pasze biodra wełną białą,  
 I zda się życie z niego ulatało,  
 Lecz wnet się krzepił; mdlejące źrenice  
 Rozpalał ogniem, jako dwa księżyce,  
 I jak wąż pełznąć między ciał tych kupy,  
 Dobijał rannych.

\*

Już tylko dwa trupy

Nas rozdzielaly. Jakby urzeczony,  
 Nie mogłem oczu oderwać od strony,  
 Gdzie się poczołgał ten Nizam straszliwy...  
 I tracąc oddech, czułem nawpół żywy,  
 Jak kindzał jego pierś mi nawskrós wierci  
 I serca sięga... wszystkie męki śmierci  
 Oczekiwanej, nieuchronnej, blizkiej,  
 Tak mnie chwycily w żelazne uściski,  
 Żem głośno jęknął: Boże!

Nizam dziki

Dojrzał mnie, skoczył i wyciągnął ręce,  
Rzucając w przestrzeń wściekłości okrzyki...  
Lecz nagle, jakby w dojmującej męce,  
Zwinął się w sobie i przycisnął ranę,  
Z której buchnęły długo wstrzymywane  
Czarnej krwi strugi... zachwiał się, rękoma  
Chwytając próżnię przed sobą... na czole  
Śniada mgła śmierci osiadła widoma...  
Oczy zagasły... pasując się z skonem,  
Zerwał się jeszcze, zatoczył półkoło  
I cisnął we mnie skrwawionym kindżalem,  
I trupa tego, którego dźwigałem,  
Przeszył nawylot żelazem czerwonym.  
Był to ostatni cios tej dzikiej dłoni.  
Jak stał, tak runął u nóg mych z łoskotem;  
A twarz przedśmiertną luną mu się płoni,  
Potem sinieje, potem blednie, potem  
Robi się sztywna, przeraźliwie biała...  
I skonał Nizam, szepcząc: »Allah!... Alla!«...

## Grünwald.

(Wrażenie przed obrazem Matejki).

Z drogi! z drogi tej przeszłości,  
Co z zamierzchu i z nicości  
Cała krwawa,  
Zmartwychwstawa,  
Jak zwycięstwa duch!  
Oto grzmiąc, jak orkan, leci  
Zawierucha tych stuleci,  
Co pod zbroją  
Wrzące stoją,  
Śledząc mieczów ruch.  
Uskrzydłona i pancerna,  
Hasłom bratnim jak śmierć wierna,  
W pole klęski  
Zastęp męski  
Z różnych wiedz stron...  
I nie zgadnie wróg krzyżacki,  
Czy go miecz dosięże lacki,  
Czy go ramię  
Czecha złamie,  
U Litwina nóg.



Stal goreje, oszczep chrzęści,  
Topór warczy w chrobrej pięści...

Tam pierś naga  
Tchnieniem smaga,  
Nim dłoń zmierzy cios...

Okrzyk walki w przestrzeń bucha:  
Szum krwi w żyłach, wrzenie ducha,

Odmach ręki,  
Zgrzyty, jęki,  
W jeden zlewa głos.

Hej!... zapłata to odmienna,  
Niż Dobrzyńska Ziemia pszenna!

Krzywdy stare  
Poza miarę  
Wykipiały krwią...

Precz z drużyną stąd służalczą!  
Nieśmiertelni tutaj walczą;

W szczęku, w pyle,  
Na tę chwilę  
Kładą pieczęć lwia!

Któż prawnucze serce zmierzy  
Z wielką pierśią tych rycerzy,

Głębokich w blasku,  
W gielku, w trzasku,  
Jako orłów ród?...

Kto dziś zdzierży takie boje?  
Taką sławę, takie zbroje?

Drzewce stare,  
Żywą wiare?...  
Kto dziś stworzy cud?...  
Las zielony patrzy zdala,  
Jak ta burza się przewala;  
W krwi i w dymie  
Wielkie imię  
Dzień ten daje mu...  
Pył, co leci w błękit żywy,  
Szum sztandarów, świst cięciwy,  
W dziejów karty  
Niezatarty  
Pomnik wpiszą chrztu.  
Z drogi! z drogi!... Któż dotrzyma  
Rozpędowi sił olbrzyma,  
Co w dniu chwały,  
Zbrojny cały,  
Pogromem się zwał?  
Walczy — miecz się zrasta z dłonią...  
Pędzi — żywą jest »pogonią«...  
On przez wieki,  
W świat daleki  
Sławę niesie w cwał!

## Tarcza Scypiona.

Et juvenis fuit — et coelebs — et victor.  
(*Valerius Maximus*).

### I.

Przeszłość, zwinięta jak pergamin stary,  
Z kipiącym życiem nie wytrzyma miary.  
Kielich łez swoich i swoich zachwyków  
Wypiła do dna; i jest jako słońce,  
W ogniach zachodu cicho zstępujące  
Z purpurowego tronu, z góry szczytów...  
Chwila obecna stopę swą młodzieńczą  
Stawia na bluszczach, co jej groby wieńczą,  
I wznosząc puhar upojeń dla świata,  
Jak orzeł w skrzydła potężne uderza,  
Porywa ludy, walki i przymierza,  
I z hasłem wieku swojego ulata.

\*

\*

Przeszłość — ruina, rozsypane grody  
Zagasłe gwiazdy, przeżyte narody,

Zatarty napis, co tłumy odstręcza...  
 Lecz niechaj śpiewak rękę nań położy  
 I tchem swym wskrzesi pierwiastek ów boży,  
 Co się w ludzkości jak nić złota wije;  
 A oto dawno zapomniane słowo  
 Nabiegnie barwą, niby krwią serdeczną,  
 I będzie, jako ta wiosenna tęcza,  
 Nagle rzucona w chmurę brylantową...  
 Gwiazdy zapłoną, ruina ożyje  
 I duch poczuje, że przeszłość jest wieczną.

## II.

W drżącej, błękitnej Rodanu zatoce,  
 Drobną się łódka jak ptaszek trzepoce...  
 Wiosenne wody przybrały z gór stoków  
 I z rozplakanych deszczowych obłoków.  
 I nowe wiry zerwały się z szumem,  
 Kręcąc się, niby zakłęte wrzeciona,  
 Co przedą tęcze i promienie słońca...  
 Piany się na brzeg cisną białym tłumem,  
 A odepchnięte od skalnego łona,  
 Drżą i rozbite w lekkie, srebrne puchy,  
 Błądzą po fali jak te chwiejne duchy,  
 Które i ziemia i niebo odtrąca.

Na brzegu wiosło porzucone leży  
 I szmat ubogiej, rybaczej odzieży,  
 I sieć zmoczona węzłami lnianemi  
 Gniece puszyste mietlice i trawy...  
 A słońca promień padając jaskrawy  
 Pomiędzy lśniąco, jako jedwab, skręty,  
 Perelki wody na sznurach jej drżące,  
 Które w Rodanie były błękitnemi,  
 Tak ubrał w dziwnych kolorów tysiące,  
 Że wydawały się jako dyamenty,  
 I jak opale, i jako rubiny,  
 W bajecznym jakimś cudownym połowie,  
 Na jasność dzienną dobyte z głębiny.  
 Perły te, w okach rozwieszając tęcze,  
 Były jak srebrne owe mgły pajęczce,  
 Które jesienią majaczą w dąbrowie...  
 Lub jak lzy wielkie, w źrenicy stojące,  
 Któremi płaczą w milczeniu tysiące.

!

\* \* \*

Sieć ta i wiosło, i odzież rybacza,  
 I łódka, która, o spienioną falę  
 Trącając lekko, pierś swą ledwo macza,  
 Niby w pieszczocie oddanej niedbale, —  
 Wszystko to, na czem błękit nieba świeci,  
 Jak tajemnicza zasłona ołtarza,  
 A na co, w dumy poczuciu głębokiem,

Przechodzień ledwo chciałby rzucić okiem, —  
 Wszystko to, biedne, zużyte, wytarte  
 I tylko tyle, co krwawa łza warte,  
 Wiosło i odzież, i łódka i sieci,  
 Są wielkim skarbem wielkiego nędzarza.

\*                      \*

On się docisnąć wśród ludzkiej gromady  
 Nie mógł do chleba innego; więc, cichy,  
 Odszedł na stronę, i gdy godownicy  
 Życia wznosili kipiące kielichy,  
 Stał nagi, głodny, spragniony i blady...  
 Aż związał sieć swą i zbił łódkę małą,  
 Wystrugał wiosło i odtąd, wśród trudu,  
 Z kapryśnej fali wyławiał kęs chleba...  
 I tylko śledząc wiecznie tajemnicy  
 W głębiach wód rwących, żrenicą zdrętwiałą  
 Odwykł spoglądać na lazury nieba,  
 Tylko pracując, przestał czekać cudu.

### III.

Lecz cud się właśnie stał — tu, dziś, przed chwilą.  
 Tam, kędy Rodan, jak ptak biały, leci

Przez skalne progi, co próżno się siłą  
 Namiętny nacisk ten powstrzymać wody,  
 Błady nasz rybak zarzucił swe sieci  
 I w smutnych myślach tonął nędzarz młody.

\* \* \*

Ach! kiedy starość zgrzybiała i drżąca,  
 Zdala od życia rozkoszy i bólów,  
 Jako roślina żyje, wkorzeniona  
 Siłą nałogu do ziemi tej łona,  
 Nic już nie pragnąc prócz chleba dla ciała,  
 Mniej to jest straszmem... lecz gdy młodość świeża,  
 Z której sam Bóg chciał dać swej ziemi królów,  
 By jako orzeł leciała do słońca  
 I świat ten pierśią własną naprzód pchała,  
 Gdy taka młodość kwitnąca, swobodna,  
 Zamiast żyć duchem, musi, nakształt zwierza,  
 Wyłącznie o tem myśleć, że jest głodna;  
 To tak jest smutnem, jak gdyby skowronki,  
 Co się trzepocą nad pola i łąki,  
 I błogosławią pieśnią nasze skiby,  
 Nagle wprzęgnięto do pługa... jak gdyby  
 Gwiazdy zebrano na ognisko z nieba...  
 Jakby kto duszę sprzedał za kęs chleba!

Zadumanemu ociężał sznur w dłoni;  
Sieć poszła głębiej, a łódka skrzydlata,  
Siostra jaskółki tej, co nad nią lata,  
Już jej błękitnym gościńcem nie goni,  
Lecz okręciwszy się około wiosła,  
Jak tanecznicą na gibkiej swej nodze,  
Nagle, jak gdyby schwytna za wodzę,  
W cichej zatoki srebrne piany wrosła.

Zdumiał się rybak. Tam, na dnie głęboko,  
Jakoby wielkie, wpółzamknięte oko,  
Księżyc w swej pełni utopiony leży  
I twarzą martwą, senną i pobladłą,  
Wskrós srebrzy jasne zatoki zwierciadło,  
Jak dla lepszego odbicia wybrzeży...  
Zerwał się rybak, sznur sieci napręży,  
Dwie sine smugi weszły mu na czoło,  
Wtył przegiał ciało, całą siłą młodą  
Sieć swą prowadzi, jak nurka pod wodą.  
Z razu, szerokie zakreśliwszy koło,  
Brzegi jej coraz zaciska i zwięża,  
Aż pochwyciła gwiazdę niby w dłonie,  
I dziwny połów wyniosła przez tonie.



Rybak plon srebrny ciągnie na brzeg ślizgi,  
 Pozbywszy z ramion młodzieńczych siermięgi  
 I wiosło w trzciny rzuciwszy niedbale...  
 A fala, gniewne zataczając kręgi,  
 Szle za nim posły swoje, białe bryzgi  
 I pękające w milion tęcz opale  
 Wzdętych kropelek, które mu na głowę,  
 Iście królewskie, bo jednochwilowe,  
 W promieniach słońca zwijają korony.

\*                      \*

Tajemną zdobycz uwolniwszy z sieci,  
 Spojrzał i z dziwu skamieniał, jak głązy...  
 Przed nim, pamiątka odległych stuleci,  
 W napisy jakieś ryta i obrazy,  
 Leżała srebrna tarcza, oplątana  
 W długie, jedwabne porostów włókienka...  
 Tarcza błyszcząca, jakoby ulana  
 Z promieni, które w pełnię do okienka  
 Cicho się w nocy skradają, i psotne,  
 Całują usta senne i wilgotne.  
 Czyją pierś kryła przed laty? któż zgadnie!...  
 Milczą dla tłumów jej zatarte godła.  
 Może tam kiedyś w chłodnej głębi na dnie,  
 Z Rodanem cicho rozhowory wiodła  
 I rapsod jakiś bohaterski, stary,  
 Do jego szumów dostrajała miary.

Lecz tu, pod okiem ciekawych tysiãca,  
 Co siã cudowi przypatrzeć zlecieli,  
 Leży bez głosu, sztywna i milczãca  
 W swojej dziewiczej hardoœci i bieli...  
 I tajemnicã od siebie odtrãca  
 Brzmiãcych zagadek ciekawych czcieli.  
 Tylko, gdy rybak powrócił do chaty  
 I srebrnã tarczã postawił przy progu,  
 I senny upadł na twardym barłogu,  
 Wtedy, jak gdyby chór duchów skrzydlaty  
 Wzleciał, wsród ciszy tej nędznej ustroni...  
 Jakieœ siã szepty i szmery rozwiały,  
 Dalekie głosy, bojowe okrzyki,  
 Wojenne hasła, strzał błyski, szczęk broni,  
 I w jeden akord stopiwszy siã dziki,  
 Wsród szumu orłów lecãcych muzyki,  
 Pieœñ grzmiãcã starej, zapomnianej chwały  
 W srebrzystych blaskach tarczy tej śpiewały.

## IV.

Noc. Kartagina jako stos siã pali,  
 Ciskajãc w niebo iskry, gwiazdy, słońca  
 I rozwiechrzone komety z koralami,  
 Które, jak ptastwa ciżba latajãca,

Tłumnie się w niebo skrzydły płomiennemi  
 Rwą z gniazd ognistych, syczących przy ziemi,  
 I krzesząc smugę poza sobą jasną,  
 W głębinach morza toną, pelzną, gasną.

\* \* \*

O nocy! małoż tobie srebrnych globów,  
 Co drżą wśród cieniów twoich tajemnicze?  
 Trzebaż ci jeszcze rozplomiennić grody  
 I z zwyciężonych ludów palić znicze,  
 I na stos rzucać wolność, krew, swobody,  
 I łuną zdradzać czarną nicość grobów?...  
 O nocy! krwawa współniczko płomieni,  
 Mordów, podstępów i nieszczęść i zbrodni!  
 Czyż nigdy blade światło twych pochodni  
 Zgrozą i wstydem się nie zarumieni?  
 Czyż zawsze, w płaszc swój owinięta, blade,  
 Kołysać będziesz drzemiące plejady,  
 Jako ta matka z rozpaczy szalona,  
 Co trupa dziecka przytula do łona  
 I zasłuchana w śmierci martwą ciszę,  
 Śpiewa mu piosnki i do snu kołysze?

\* \* \*

Gród zwyciężony, w ogniów swych koronie,  
 Płomiennych węzów opasany pękiem,

Jak król boleści, w straszliwej purpurze,  
Zasiadł na zgliszczów i rumowisk tronie  
I wsparł się, chwiejąc, na zgwałconym murze,  
Na wyłamanych bramach i okopach,  
I był, jak gdyby skamieniałym jękiem,  
Jakby krwi plamą rzuconą w przestrzenie,  
Która tron Boga plami w straszne cienie...  
Morze, rozdarłszy pian swych szatę białą,  
Jak niewolnica, tuż przy jego stopach,  
Niepocieszone w żalu swoim, lkało,  
Wzniesioną pierśią tłukąc się o brzegi.

\*

Komu ty, nocy przerażeń i klęski,  
Tulisz dziś oczy w sen cichy, w sen błogi?...  
Zwyciężonemu u bezsennych powiek  
Migają widma rozpaczy i trwogi;  
A tam, gdzie orzeł ulata zwycięski,  
Nad rzymskich legii błyszczące szeregi,  
Gwar pieśni, śmiechów, okrzyków wybuchu,  
Jak oddalona burza jakaś głucha...  
Tak idzie, walcząc, przez życie swe człowiek:  
Tryumf i rozpacz, szczęście i tęsknota  
Jednakim wihrem duszą jego miota.  
W rozkwicie złudzeń, w nadziei pogrzebie,  
Nigdy nie zdoła posiadać sam siebie.

I chyba wtedy ukoi się w duchu,  
 Gdy cichy spocznie bez głosu, bez ruchu,  
 Jako szermierze, co szańców tych strzegą  
 Śmiertelną strażą aż do dnia sądnego.

W białym namiocie, co skrzydła swe dumne  
 Rozwinał zdala od gwaru i szumu,  
 Patrząc na zgliszców dymiącą kolumnę,  
 Stał Scypion, wzniosły samotnik wśród tłumu.  
 Blaski tryumfu na czole mu gasną,  
 W źrenicy iskry ostatnie się palą,  
 Krew w pulsach bije chłodniejszą już falą,  
 Pierś uciszona spoczynku pożąda,  
 Głębszem, pełniejszym unosząc się tchnieniem...  
 Wódz młody czuwa i orlem spojrzeniem  
 W noc tę, od ogniów, jak dzień krwawy jasną,  
 Z szlachetnym smutkiem zwycięzcy pogląda.

On stoczył dzisiaj dwie walki zacięte:  
 Jedną z tym ludem, zrozpaczonym klęską,  
 Którego łuki zdały się napięte  
 Wściekłością piersi, broniącej swobody, —  
 Którego strzały, parte przez cięciwę,  
 Od bicia serca łuczników drgająca,

W legiony Romy leciały jak żywe,  
 A każda była żmiją kąsającą,  
 Przekleństwem, pomstą, rozpaczą, zwątpieniem,  
 I strącającem w noc wieczną ramieniem...  
 A drugą walkę bohater ten młody  
 Stoczył sam z sobą, z własną piersią męską,  
 Walkę okropną, straszną, choć milczącą.

Afrykańskiego słońca plowe żary,  
 Co leją złoto roztopione w żyły  
 I w mózgu dziwne wywołują mary,  
 I w piersiach budzą żądzę głuche siły, —  
 Żary te straszne, namiętne, złowieszcze,  
 Co, odrzuciwszy obłoków zasłonę,  
 Drżą na lazurach nagie i spłonione,  
 Ssąc oddech ziemi i wilgoć jej łona,  
 W dziewiczej piersi młodego Scypiona  
 Zbudziły dziwne płomienie i dreszcze.  
 Jakaś potęga zawładła nim nowa,  
 Istotę jego łamiąca we dwoje...  
 Jakiś bóg, dotąd nieczczony, nieznany,  
 Rył mu na sercu nagiem prawo swoje  
 I objawiał się w oddalonym gromie,  
 I niósł ze sobą wichrów niepokoje.  
 A tak potężną była jego mowa,  
 Że Scypion, w ciszę nocy zashuchany,

Przestawał myśleć o wojnie, o Romie,  
 O Kartagenie, co jak męczennica,  
 Na wielkim stosie dziejów się paliła,  
 I drżał, i szeptał przerywane słowa,  
 I tak się płonił jak młoda dziewica,  
 Co po raz pierwszy: »kocham« wymówiła.

## V.

Czy znasz tę chwilę srebrzystą, różową,  
 Gdy wschód unosi zasłonę nad głową  
 Śpiącej jutrzeńki i zwolna odchyła  
 Obłoczki lekkie, jak skrzydła motyla?  
 Gdy ranek, w białe zasłony spowity,  
 Dyadem rosy kładzie w ptasząt gwarze?  
 Gdy ziemia ze snu ockniona, marząca,  
 Tęskne ramiona wyciąga w błękity,  
 Z mgły wznosząc srebrne, dymiące ołtarze,  
 Na cześć wielkiego bóstwa życia, — słońca?...  
 I czy znasz chwilę, gdy dziwna tęsknica,  
 Której nikt nazwać, ni ująć nie zdoła,  
 Łunami świtu wybija na lica  
 I upojeniem opromienia czoła?...

Czy znasz ty chwilę tę, przed burzą samą,  
Gdy wichher gońcem widnokrąg oblata,  
A słońce z twarzą bladą i zagasła,  
Zda się upiorem zjawionym z za świata?  
Gdy grom daleki potężnych salw hasło  
Przesyła drżącej w wnętrzościach swych ziemi?  
Gdy cień zapada płachtami grubemi,  
A pierwsze krople dżdżu perłową gamą  
Rozsypują się krągłe, ociężale  
I od błyskawic łuny złote całe?  
I czy znasz chwilę ucisku i trwogi,  
Oczekiwania na zgrozę nieznaną,  
Gdy duszę, węzem płomiennym smaganą  
Obłęd porywa w wir ciemny, złowrogi?

Taki świat cichy marzeń i tęsknoty  
I taka burza w zawiązku swym wrząca,  
Jako dwie czary, z których jedna mieści  
Napój słodczy i upojeń złoty,  
A druga, pianą rubinów kipiąca,  
Pełna rozkoszy szalów i boleści,  
W noc tę zmieszane, jak dwie wrogie siły,  
Usta Scypiona zarzewiem paliły.



Dumał, i dziwne bezsenne marzenia  
 Przykuwały go do namiotu wnętrza...  
 A noc ta, klęski, łun pełna, bez cienia,  
 Wydała mu się od ognia gorętsza,  
 Od lwa potężniej za piersi szarpiąca,  
 I taka tęskna, i taka bez końca,  
 Że padł na łożo zmęczony, omdlały  
 I czuł, jak w mroku oczy mu pały.

Wtem gwar się rozległ u wniścica, i nagle  
 Purpurowego namiotu zasłona  
 Wzdęła się, niby wichrem parte żagle...  
 A legionisty żelazne ramiona  
 Wepchnęły w ognia schwyconą Kartagi  
 Branke, co jako srebrna nocy strzała,  
 Którą z błękitów księżyc ciska ziemi,  
 Błysnęła w cieniach, rąbkami białemi  
 Kryjąc panieńskie wdzięki swego ciała,  
 Tak, jak się w listki kryje pączek nagi.

— »Boski Scypionie« — rzekł pretor — »w zdobyczy  
 Nie wzięłeś części ni w srebrze ni w złocie;  
 Niechże ten kwiatek ponętny, dziewiczy,  
 Rozpędza nudy w samotnym namiocie...

Piękna! patrz tylko...« — i dziki atleta  
 Z ramion jej szatę pochwycił przemocą...  
 — Scypion, jak gdyby w tem białem zjawieniu  
 Poznał niejasnych marzeń swych osnowę  
 I mógł je wreszcie nazwać po imieniu,  
 Rzekł głosem cichym, zdumionym: »kobieta!«  
 I jakby wstydząc się przed ciemną nocą  
 Wzruszenia swego, spłonął... i w milczeniu  
 Skłonił swą dumną, bohaterską głowę,  
 Hołdem zeznając przed sobą i światem,  
 Że piękność także bywa majestatem.

Pretor znikł w zmierzchu, który jak wąż czarny  
 Opasał namiot mrocznemi kręgami,  
 Błyskając ognisk złocistą źrenicą,  
 A gwar obozu burzliwy, niekarny,  
 Był tłem jaskrawem dla ciszy, co biała  
 Z palcem na ustach milczących zapada  
 Ponad namiotu drgające szkarłaty,  
 Gdzie wódz młodzieńczy z porwaną dziewicą,  
 W tej nocy zgrozy zostali się sami.  
 — Siła i piękność: dwa berla, dwa światy.

Scypion głębokiem, gorącym spojrzeniem  
 Objął tę białą, co nagle spłoniona  
 Młodej krwi swojej królewską purpurą.  
 Na piersi nagiej złożyła ramiona  
 I osłoniła się wstydem, niby chmurą,  
 Walcząc z tajemnem, nieznanem wzruszeniem.  
 Scypion drgnął lekko; zgryzł wargi młodzieńcze,  
 Wyciągnął dłonie przed siebie, jak we śnie  
 Wzrok mu zasnuły dyamentowe tęcze  
 I nagle w milion iskier się rozprysły...  
 I poczuł dziwne w żyłach swoich szумы  
 I świat leący przez otchłań błękitną  
 I zaostrzone, jako strzały, zmysły...  
 Nieznane wonie, mar dziwacznych tłumy,  
 Kwiaty ogniste, co nigdy nie kwitną,  
 I upajał się z wrzącego kielicha,  
 Którego nigdy nie dotknął ustami...  
 Było mu czegoś błogo i boleśnie.  
 I stał tak niemy, chwiejący się, blady,  
 A noc, zgasiwszy gwiazd swoich miriady,  
 Tulila zdradnie czarnemi skrzydłami  
 Dwa te walczące duchy, szepecąc z cicha:  
 ...»Jesteście sami!... wy jesteście sami!...»

I w tym samotnym dotychczas namiocie  
 Staął duch straszny, w płomieni koronie;

I podniósł czoło pałające żarem,  
 Cały w błyskawic i piorunów złocie  
 I rozprzestrzenił ponad ziemią dłonie,  
 A ziemia znikła jak bańka zdmuchnięta.  
 I w niebo wionął skrzydeł swych sztandarem,  
 A niebo znikło jak karta zwinięta.  
 I dźwignął swoje ciało gorejące  
 Stłumionym ogniem, jak zgaszone słońce,  
 I zapełnił niem czas i przestrzeń całą,  
 I nic prócz niego nie było na świecie,  
 A w tej nicości ich dwoje zostało...  
 I zasłonił im mdlejące źrenice,  
 Cały się w nagłe mieniając błyskawice  
 W serca drżącego przyśpieszone tętno,  
 W jakąś pieśczętę niepomną, namiętą,  
 W woń konającą na zdeptanym kwiecie...

\* \* \*

Ach! czemu w piersi, co ma być świątynią,  
 Żądze budują sobie tron ponury  
 I zasiadają go burzliwą zgrają?...  
 Czemu krwi fale, które wzruszać mają  
 Najczystszych uczuć struny kryształowe,  
 Wznosząc w niej dzikie i namiętne chóry,  
 Wyziewem burzy oczadzają głowę  
 I z wolnych duchów jeńców swoich czynią?  
 Czemu pragnienia powstają z przemocą

Nieubłaganą, tyrańską, straszliwą?  
 Czemu się serca rwą w piersiach, trzepocą  
 I chcąc ulecieć w błękity, spadają,  
 Jak ptak zraniony z skrzydły złamanemi?  
 Jaki duch ciemny z tych źródeł wyschniętych,  
 Z gwiazd spadłych, z pąków stoczonych w rozkwicie,  
 Z mętnych porywów, z nędz jaskrawych ziemi,  
 Z chwil upojenia rozkosznych, przeklętych,  
 Z płomieni, które wypalają życie,  
 Zbiera w wieczności gorejące żniwo?...

Nagle w namiocie zjawił się duch drugi,  
 A z nim ocknęły się poranne świty,  
 I zaszumiały pieśnią srebrne strugi,  
 I z cieniów blade wyjrzały błękity;  
 Senne marzenia powiały nad głową  
 Ziemi swą szatą mglistą i tęczową;  
 Ognie przygasły, zastygły wulkany,  
 Z cichym szelestem opadało morze,  
 Jeleń u źródeł gasił swe pragnienie;  
 Dziecię gdzieś przez sen wyszeptano: »Boże!  
 Ptaszki zbudziły drzewa swym szezebiotem;  
 Od chłodu rosy drżała róża polna;  
 Przejrzysta zorza purpurą i złotem  
 Wschód malowała na przybycie słońca...  
 I ucisk serca długo wstrzymywany,

W ciche, ożywcze uleciał westchnienie...  
 Ocknął się Scypion; wyciągnął ramiona  
 Do pięknej branki, co stała, milcząca,  
 Jutrzennym świtem cała zróżowiona,  
 I blednąc, szepnął zeicha: »jesteś wolna!« —  
 A wzięwszy tarczę bohaterską swoją,  
 Oślonił ciało splonionej dziewicy,  
 Jakby czci własnej dyamentową zbroją,  
 I rzekł: »w pokoju idź do swego grodu  
 I powiedz mężom swojego narodu,  
 Że Scypion uczcił wolność w niewolnicy«.

\* \* \*

Wyszła w milczeniu. Straże obozowe,  
 Widząc ją wodza okrytą puklerzem,  
 Zdumione, nisko pochylały głowę.  
 Tak szła, chłód nocy pijąc technieniem świeżem,  
 Aż tam, gdzie napół przepalona brama,  
 Przed jej stopami rozpadła się sama,  
 I gdzie wśród dymów, co mgłami sinemi  
 Ostatnie ognia przygaszały słupy,  
 Z wschodzącą słońcem weszła ponad trupy,  
 Jak poseł ciszy i pokoju biały.

\* \* \*

Ojciec jej, stary Celtiber zsiwiał,  
 Widząc ją w całej dziewiczej ozdobie  
 Wolną i czystą wróconą znów sobie,  
 Kazał płatnerzom kuć ciężkimi młoty  
 Srebrzystą bryłę, aż z białego łona  
 Wyszła przedziwnej siły i roboty  
 Tarcza, jak pełnia jasnego księżyca;  
 A na niej, wpośród godeł tajemniczych,  
 Kwiatnych opasek i ozdób złotniczych,  
 Rozkazał wyryć to słowo: »dziewica«.  
 I tarczę ową słał w obóz Scypiona.

## VI.

Gdy orły rzymskie, latając po świecie  
 Gubiły pióra z swych skrzydeł potężnych,  
 A modry Rodan unosił na grzbiecie  
 Tysiące statków i meźów orężnych;  
 W nagłej przeprawie przez drogę tę szklaną  
 Spojrzeniem wodza, jak burzą, smaganą,  
 Tam, kędy fale, jak dzikie brytany,  
 W srebrnych obrożach uwięzione, warczą,  
 W śmiertelny uścisk przepaści schwytny  
 Statek zatonął z promienną tą tarczą.

I odkąd chłodne błękitne otchłanie  
 Zwały się nad nią jak gwiazda strącona,  
 Spała snem cichym w szumiącym Rodanie.  
 A nad nią burze ogniste latały,  
 Maczając końce czarnych skrzydeł w wodzie  
 I wyciągając błyskawic ramiona;  
 A srebrne piany korowód swój biały  
 Wiodły, jak sylfy, w noc letnią tańczące,  
 Kołysząc lekkim ruchem senne łodzie,  
 Zanim poranne rozbudzi je słońce.  
 I długi szereg burzliwych stuleci  
 Przemknął, jak fala, co u brzegu kona,  
 I tak leżała tarcza ta Scypiona,  
 Aż ją rybacze wyciągnęły sieci.

Dziś do wielkiego przeniesiona grodu,<sup>1)</sup>  
 W świetnym muzeum, jak klejnot, złożona,  
 Zda się być strofą starego rapsodu,  
 Albo wyrwaną z starej księgi kartą,  
 Której świat nowy nie rozumie prawie,  
 Tak w treści swojej jest dla nas zatartą...  
 A którą pra-prawnucze pokolenie  
 Mierzy i waży i bada uczenie,

---

<sup>1)</sup> Tarcza ta, wydobyta z Rodanu 1665 roku, znajduje się w gabinecie starożytności w Paryżu.



Ukrytej myśli, co śpi tam zamglona,  
Przez chłodne szkiełka szukając ciekawie.

Lecz w wieku, w którym płomienne pochodnie  
Żądź przepalają wskroś piersi ludzkości,  
I w swym ognistym, niszczącym pochodzie,  
Krwawym pożarem podsycają zbrodnie;  
Gdy, jak dymiąca żagiew, przyłożona  
Do podstaw gmachu, nurtują w narodzie,  
Łamiąc energią szermierzy przyszłości,  
Milionem żadeł wypuszczonych skrycie  
Obezwładniając myśli wzniosłe ruchy;  
Kiedy użyciem jest tylko to życie:  
Czyż chociaż pieśnią przypomnieć nie warto,  
Jak mąż zwycięża i jak walczą duchy?



### Jaskółka.

Z za morza powraca!... ach leci tu, leci,  
Jaskółka pod strzechę, pod naszą...  
A cichoż ty bosa, gromadko! sza, dzieci!  
Bo krzyki ptaszynę wystraszą...  
Ach, śpiesz się dziewczyno, nie splataj warkoczy,  
Do strugi, za wioskę bież strzałą;  
Nim ptaszka w niej skrzydła czarniawe umoczy  
Ty w wodzie twarzyczkę myj białą.  
Jeżeli się uda ten wyścig z jaskółką  
I staniesz ty pierwsza u wody,  
To słońce przez lato, całując twe czołko,  
Smagłością nie przyémi urody.  
Hej, chłopcze tęskniący! śleđź bystrem spojrzeniem  
Gdzie ptaszka gniazdeczko uściele,  
Tam w późne dosiewki szlij swata z pierścieniem,  
A w zapust wyprawiaj wesele!  
Ty, młoda gosposiu, wybiegnij z wrzecionem,  
Nim w locie się zwinie jaskółka,  
Cieniuchną niteczkę pasemkiem srebrzonym  
Nawijaj, nawijaj u kółka;

A kiedy jesienią zaświecisz łuczywo  
     I siedziesz prząść lniane włókienka,  
 To nitka, jak ptaśzek, okręci się żywo,  
     I równa, i mocna, i cienka.  
 Dziadusiu, babusiu, siadajcie u proga  
     Pod przyzbą, na ławie dębowej,  
 Niech dla głów siwiutkich uprosi u Boga  
     Jaskółka ten roczek, ten nowy!  
 Ach, leci!... ach, leci! powraca z za morza  
     Do naszej wioskowej zagrody,  
 I czarnem skrzydełkiem pozdrawia rozdroża  
     I łąki, i pola, i wody.

— »Witajcie! tak do was tęskniłam z oddali!  
 Dziś wracam z piosenką radosną...  
 Cóż słychać nowego? czy zdrowi? czy cali?  
 Czy żyją staruszki jak jabłoń zsiwiali?  
 A Kasie, Maciusie czy rosną?  
 Ach! cóżto?... te same jak widzę, kłopoty  
     I bieda, jak była przed laty!  
 Na drogach kaluże, wyboje, wywroty,  
 Podwórka nie strzegą ni drzewa, ni płoty,  
     I dach się zapada garbaty!  
 Przez strzechę zmurszałą deszcz w chatę przecieka,  
     A ściany się krzywią i paczą,  
 Jak gdyby nie były siedzibą człowieka,  
 Co ziemię tę potem uprawia od wieka,

Lecz nędzną gospodą tulaczą.  
 Na twarzach znękanie i niechęć, i troski,  
 Na ustach piosenka niedoli,  
 A dzieci wzrastają, jak płonne te kłoski,  
 Na dzikim ugorze zbujające, wśród wioski,  
 Bez myśli, bez czynu, bez woli.  
 Stęskniona leciałam przez morza, z nadzieją  
 Wiosennych błękitów i słońca;  
 Lecz tutaj błękity nad wioską ciemnieją  
 I wichry lodowe czatują z zawieją,  
 Tu zima i zima bez końca!  
 Och! gdybym ja mogła rozegrzać was pieśnią,  
 Jak słońko tę rzeczkę pod lodem,  
 Myśl strząśłaby z siebie, co rdzą jest i pleśnią,  
 Duch zrzuciłby więzy, co lot jego cieśnią,  
 I ludby się zbudził narodem«.

— »O, spojrzuj! o, spojrzuj! to pierwsza jaskółka  
 Pod gzymsem w skrzydelka trzepoce...  
 I w okna zagląda, i zwija się w kółka,  
 I o coś się pyta, szczebioce...  
 Toż wiosna już! wiosna!... za tydzień, za drugi  
 Mieć będę z fijołków bukiety...  
 Czy w polu już sieją?... czy orzą już pługi?«  
 — »Najdroższa, czytajmy gazety«.

— »O panie! o pani! słoneczko kwietniowe  
 Przyświeca tak jasno, tak ładnie...  
 Czyż żaden płomycek na główki, na płowe,  
 Wioskowych pacholąt nie padnie?  
 Czyż mi tak co wiosna trzepotać napróżno  
 U okien skrzydłami czarnemi?  
 I kiedyż wybiegną ptaszynę podróżną  
 Wieściami powitać dobrymi?  
 I kiedyż gniazdeczko pisklętom uwinę  
 Pod strzechą szczęśliwą, wieśniaczą?  
 I kiedyż tu światłem ubogą dziecinę,  
 Jak chryzmem, na życie naznaczą?« —

\* \* \*

— »Ach! widzisz, nie mogę dziś słuchać z uwagą;  
 Myśl moja ucieka z jaskółką,  
 I leci nad wioskę odartą i naga...  
 Mój drogi! zajmijmy się szkółką!  
 Niech biedne te dzieci nie rosną tak dziko,  
 Wszak kraj do ich czynów ma prawa«...  
 — »Hm! chłopu nauka, co najmniej ryzyko...  
 Czytajmy, jeżeliś łaskawa!« —

\* \* \*

— »O panie! o pani! za morzem, za sinem,  
 Plon myśli runieje, dojrzewa...

I słowo tam pada nie dźwiękiem, lecz czynem,  
 I wzorem, nie radą zagrzewa.  
 Ach, rzućcie wy w wiosce ziarenka oświaty,  
 Dostatków maleńkie okruchy;  
 A wzniosą się czoła ku słońcu, jak kwiaty,  
 I zbudzą się myśli i duchy!« —

— »Najdroższy! chcę wiedzieć, dlaczego z pozoru  
 Praw równość głosicie człowieka,  
 A przestrzeń odwieczna od chaty do dworu  
 Tak zawsze boleśnie daleka?...  
 Dlaczego przed dzieckiem, panienką, paniczem  
 Zsiwiałą swą głowę odkrywa  
 Staruszek, piast wiejski, z dostojnym obliczem?  
 Kto bratnie rozerwał ogniwa?  
 Kto kraj śmiał zubożyć o siłę bez czynu?  
 O myśl tę zmaconą, niejasną?  
 Czyż nie tem, co marnie przepada wśród gminu,  
 Wymierzać nam niemoc swą własną?  
 Posłuchaj mnie, drogi! czyż tyle już trudu,  
 Czyż tyle mokoła potrzeba,  
 By światło nauki rozdmuchać dla ludu,  
 Łaknącym zdrowego dać chleba?«  
 — »Co?... może ja pierwszy mam zbijać wiatraki  
 Z poczciwym Kiszotem w zawody?  
 I brudnych pastuszków zmieniwszy na żaki,  
 Sam gęsi zaganiać od szkody?»

A może wziąć książkę i, siadłszy na trawie,  
Nauczać z niej ludek, jak klecha?  
Stąd widzę sąsiadów, jak patrzą ciekawie,  
Jak każdy się skrycie uśmiecha...  
Być może, iż trudy się takie opląca,  
Gdzie wille, gdzie fermy, szalety,  
Lecz chłopu naszemu? jak, po co i na co?...  
Daj pokój!... Czytajmy gazety». —

— O słońko! świeć jaśniej, bo ziemia zakrzepła  
Rozbudzić się ze snu nie może...  
O, więcej daj światła! i więcej daj ciepła!  
I rosy ożywczej, o Boże!...

## Z dziejów pieśni.

### I.

Urodzona z uśmiechów i łez młodej matki,  
Drżąca, z serca jej wschodzisz nad kołyską oto,  
Jak z serca ziemi wschodzą nieposiane kwiatki,  
Piosnko, pieszczoto!  
Lecisz na białych skrzydłach, jak anioły stróże...  
Imię twoje »najmilsza«, a dźwięk twój opada  
Tarczą, pomiędzy dziecię, a życiową burzę,  
Co dysze blada.

\* \* \*

Młodość z piersi cię swojej ciska, jako strzały,  
Tobie na imię »sława«, »miłość«, »ideały«.  
Rozpalasz gromy w duchach i w głębie zadumy  
Unosisz tłumy.  
Tyś orzeł, co się gnieździ na myśli wyżynie...  
Tyś słowo, co się ciałem staje w wielkim czynie...

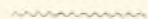


Wstrząsasz purpurą królów i nędzy siermięgą,  
Pieśni, potęgo!

\* \* \*

Ty wreszcie cicha stajesz nad świeżą mogiłą,  
Pochwycona, jak ptaszę, praw wieczystych siłą,  
Łez pełna, do Hiobowych żalów stroisz lirę,  
Szepcząc »dies irae!«...

I w odmian wszechistnienia uniesiona wicherze,  
Tajesz, jako śnieg, w tony cichsze coraz, cichsze,  
Aż ujdiesz, jako strumień, w oceanu wody,  
W pieśnię przyrody!



## II.

Widziałam pieśni, jak wiosenne kwiaty,  
Wonne i lekkie, jak motyl skrzydlaty,  
Jasne, jak błękit majowego nieba.  
Śpiewały miłość, jak trubadur błądy,  
I dziwne, straszne, prawily ballady,  
Że aż się żegnać z przerażenia trzeba...  
A gdy Czas przyszedł i z ranną je rosą,  
Jak nikły potraw na łąkach, ściał kosa,  
Rozwiały zapach, lecz nie dały chleba.

\*

Widziałam pieśni, co jak płaczki białe,  
Stały na grobach, zamknawszy ich chwałę  
W pierś przezroczystą, łamiąc z żalu ręce...  
A gdzie wiek zgasły rozwiął swoje szczątki,  
Jak Ruth schylone, zgarniały pamiątki  
Kłosów, mijanych przez śpieszące żeńce...  
A gdy Czas przyszedł i otwierał groby,

Rzekł: »jakże wiele próżnej tu żaloby!  
I jakże zeschę są te wasze wieńce!«

Widziałam pieśni, co jak niewolnice,  
Szły za rydwanem wieku, strojąc lice  
W uśmiech, ponętny dla oka Cezara...  
Lecące chwile tchem swym je żywiły,  
Z bieżących źródeł czerpały swe siły,  
I nieraz pustą bywała ich czara...  
A gdy Czas przyszedł i rozdzielał sławę,  
Rzekł: »wy, zaklęte w przydrożną kurzawę,  
Po pierwszej burzy zniknijcie, jak mara«.

Widziałam pieśni, co, jak cherub z mieczem,  
Stanęły w ognjach przed sercem człowieczem,  
Pałąc mu piersi zawiści pożarem...  
Jak szatę dzianą, tak one świat boży  
Dzieliły ostrzem przekleństwa i noży,  
Czarną nienawiść mając swym sztandarem...  
A gdy Czas przyszedł i uczynił sądy,  
Zpomędzy ludzi pieśni te, jak trądy,  
Precz wyrzucono, wraz z bezprawiem starem.

Widziałam pieśni, co z licem splonionem  
 Stały ciche nad własnym zagonem,  
 Wiosce swej nuć, jak szare ptaszyny...  
 Zwiniętych skrzydeł nie ważąc do lotu,  
 Zagrody swojej trzymały się płotu,  
 Czarnego chleba jedząc okruszyny...  
 A gdy Czas przyszedł, by wymierzyć płacę,  
 One za cichą drobnych celów pracę  
 Wzięły — fujarkę wioskową z wierzbiny.

\* \* \*

Widziałam pieśni, co jak obłok biały,  
 W dzień przed ludzkością idącą leciały,  
 A w nocy słupem gorzały płomieni;  
 Co, wzięwszy w piersi wszechwieków tęsknotę,  
 Struny z niej sobie uczyniły złote  
 I szły, miłością walcząc, w państwo cieni...  
 A gdy Czas przyszedł, rzekł: »błogosławiona  
 Pieśń, co zasiewa przyszłości nasiona!  
 Wy, co słuchacie jej, błogosławieni!«...

## Romans wiosenny.

### I.

Było to w porze tej, najmłodszej w roku,  
Kiedy się strumień, z lodowisk spławiony,  
Zabiera hucznie do pierwszego skoku  
Przez kamyk, ręką chłopięcia rzucony;  
Kiedy za chwilę, za maleńką chwilę,  
Z swych powijaków ruszą się motyle,  
I tylko patrzeć, jak w ciepła pieszczocie  
Otworzą oczy zbudzone stokrocie.  
Las ciemny we mgłach jeszcze marzy, drzemie,  
Ale za słońcem raniejsza młódź drzewna  
Obraca czoła, na poły niepewna,  
Czy to już pora rozzielenić ziemię?  
I pierwsza, w ciepłe otulona puchy,  
Wierzba, wrażliwa na świeże podmuchy,  
Gałązki swoje stroi w szaty letnie,  
Ojcom na palmy, a dziatwie na fletnie.

## II.

W maleńkim dworku, zgubionym w zieleni  
Drzew, z których każde czołem przerastało  
Dach nizki, kryty słomą poczerniała,  
Na progu wiosny i zimowych cieni,  
Jam ją zobaczył; a pierwsza ptaszyna,  
Lecąca w niebo, podsłuchiwała dziwem,  
Że serce moje stało się lękliwem,  
Że czegoś w gaju śmiała się olszyna,  
Że się fijołki rozwiły dziś łzawe,  
Że słońce weszło odmiennie jaskrawe...  
Że ona miała oczy tak przejrzyste,  
Jak niezabudka, kiedy na nią padnie  
Rosa; że śledzę, co tam leży na dnie,  
I myśl zgubiłem... plotki oczywiste!

## III.

Ona nie była piękną, salonową;  
Była kobietą z sercem i z wadami.  
Może zanadto znała się z kwiatami,  
Z czarną jaskółką i żabką majową;  
Może za często biegła po łące,  
Zrywając dzwonki liliowe i drżące;

Może za wiele róż miała w ogrodzie,  
 Za rano słońce witała o wschodzie;  
 Może się nadto w księżycu kochała,  
 Patrząc mu w oczy, promienna i biała.  
 O! miała wady! była zmienna, płocha  
 I niecierpliwa. To smuci się, szłocha  
 Nad czymś, co z wiatrem uleciało puchem;  
 To znów dziecinnym i swawolnym ruchem  
 Z czoła odrzuca rozsypane włosy,  
 Ociera oczy... patrzysz... a za chwilę,  
 Zda ci się, skrzydła dostała motyle  
 I leci róże pootrząsać z rosy.  
 Waszych zwyczajów, konwenansów zbroja  
 Nigdy nie strzegła jej piersi śnieżystych;  
 Nie była z waszych kobiet zimnych, mglistych,  
 Lecz taka wdzięczna, och! i taka moja!

#### IV.

Kiedy mnie ciągnie za sobą swawolna  
 Przez krzaki jeżyn, leszczyny i tarnie;  
 Kiedy się ze mną ubiega figlarnie  
 Tam, gdzie ma gniazdo jakaś pliszka polna;  
 Kiedy napiera się dojrzałej wiszni,  
 Gdy jeszcze kwieciami cały sad się pyszni;

Gdy ręce z żalem załamuje, pusta,  
 Że się zielona żabka nie odzywa,  
 Że poschną wszystkie w ogrodzie warzywa:  
 Tobym ją chwycił, jak dziewczynkę małą,  
 Uniósł od ziemi i, objawszy całą  
 Drobną jej postać, ucałował w usta.  
 Lecz gdy pod niebem błękitnem, gwiazdzistem,  
 Chodzimy razem wśród szeptów wieczora;  
 Gdy ona cicha, do rozmów nieskora,  
 Tłómaczy myśl swą spojrzeniem przejrzystem;  
 Gdy w moich dłoniach trzyma rączkę małą  
 Tak beznamiętnie, jakby jej to ciało  
 Nic nie ciążyło ziemią i zmysłami:  
 To chciałym zaraz, na klęczkach, ustami  
 Przyłgnąć do stóp jej i całować nóżki  
 Tej zamyślonej, tej tęsknej, tej duszki!

## V.

Pomiedzy tłumem obojętnym, sami  
 Doszliśmy prędko do czarownej chwili,  
 Kiedy się dwoje rozmawia oczami,  
 Chociaż się żadne z nich nigdy nie sili  
 Na tę rozmowę wymownej źrenicy.  
 Urok zakazu, urok tajemnicy



Ciągnął mnie, jakby czarodziejska siła,  
Do tej przepaści, która nas dzieliła...  
A tu, jak na toż, jaskółka wesół  
Miga skrzydłami i zatacza koła,  
Lepiąc gniazdeczko tuż pod samą ścianą...  
Ona się wspięła na paluszków końce  
I zasłoniła się rączką różaną,  
Bo właśnie przyszło całować ją słońce...  
A mnie się jakoś zrobiło markotno,  
Że tak już wszystko z pieszczotą stokrotną  
Ciśnie się do niej... ten promień słoneczny  
Tak po twarzyczce ją łaskocze mlecznej,  
Jakby to żywy był kochanek złoty...  
Liliowe dzwonki tuliły się w sploty...  
Jej nagich ramion dotyka sukienka,  
Biała jak one, przejrzysta i cienka.

Coś się dziwnego stało... ja sam nie wiem...  
Czy słońce z góry sypnęło zarzewiem,  
Czy się gdzieś pierwsza rozwinęła róża,  
Czy słowik w morzu harmonii się nurza,  
Czy w głos skrzydełkiem strzyże konik polny...  
Uczułem żar na ustach, mimowolny  
Wydałem okrzyk, jakby duch mój własny  
Spieszył ją ostrzec, że ma wzrok zbyt jasny,  
Że się z rękawka wysunęła ręka,

Że kwiat ją zdradza i że ta sukienka  
 Pozwala słońcu całować jej ciało...  
 Spojrzała na mnie i snadź mnie wydało  
 Moje zmięszanie, bo spuściła oczy,  
 Tuląc do siebie dwa sploty warkoczy.

## VI.

Nie wiem, czy była od początku ziemi  
 Na całym świecie druga taka wiosna,  
 Kwiecista, wonna, tęskna i miłosna,  
 Jak owa nasza! Rojami barwnymi  
 Co ranek nowe tryskały motylki,  
 Świecąc, jak drogie brylantowe szpilki,  
 Na piersiach róży, na jaśminów czole.  
 Co wieczór rzeczka uciekając w pole,  
 Garściami srebro księżycowi kradła  
 I w swoje szklane zakręty je kładła,  
 Migocąc zdala, jak pas srebrem tkany...  
 Słowik był jakoś dziwnie rozkochany,  
 Żarem syczące, płomienne lał pienia...  
 Drzewne korony plotły się w sklepienia  
 Świątyń uroku, pałaców rozkoszy...

W takim ustroniu, pewna, że nie spłoszy  
Lekkich widziadeł rój muszek brzęczący,  
Spoczęła senna, a powiew gorący  
Malował róże na jej białej twarzy.  
Szedłem podsłuchać, o czym ona marzy,  
Jakim się pierś jej porusza oddechem,  
Z czym się przebudzi, — ze łzą, czy z uśmiechem?  
Ale muśliny kryły ją zazdrośnie  
Przed strzałką słońca, czatującą skośnie  
Poza kratami liści i gałązek...  
Włos, rozpleciony z jedwabnych zawiązek,  
Po trawie spływał, niestrzeżony, wolny...  
Tuż obok stanął krasny maczek polny,  
I nie zaręczam, czy nie myślał sobie:  
„Ej, pocałuję!... ej, figła jej zrobię!“  
A ona z takim zaufaniem spała  
Tuż przy psotniku... Krew we mnie zawrzała!  
Ten polny maczek zdał mi się zuchwalcem,  
Współzalotnikiem, zdrajcą i padalcem.  
Z goryczą w sercu począłem rozważać  
Jej dziwną płochosć. Mogłaż się narażać  
Na to sąsiedztwo? nie byłaż to zdrada?  
Ten maczek stoi, patrzy, choć nie gada,  
Ale mu wszystka krew do twarzy bije...  
A nuż naprawdę on czuje i żyje?  
Stoi tak blisko, dość mu schylić głowę  
I pocałować jej usta różowe,  
W śnie rozchylone, jak otwarty kwiatek...

A tu drużyna cała traw zielonych  
 Kiwa się, prawiąc, jakby grono swatek,  
 Na to wesele zdrajcy zaproszonych!...  
 Uczułem zazdrość i gniew tak kipiący,  
 Żem zerwał szorstko, tuż nad głową śpiącej,  
 Ten mak obrzydły i zdeptałem nogą...  
 Ach! zrozumiałem, że zabijać mogą  
 Ludzie rywalów, — jam kwiat zamordował.  
 Lecz znowu żal mi było nieboraka;  
 A może tylko to przygoda taka,  
 Że on tam stanął? może nie całował  
 Jej nigdy w usta? może nawet nie wie,  
 Skąd mu na twarzy wytrysło żarzewie,  
 Gdy na nią patrzył? może on niewinny?  
 Może kochankiem jest ten kwiatek inny,  
 Co jej za rąbkiem przy piersi usycha?...  
 Tysiąc podejrzeń gniewnych mnie opadło;  
 Coś mnie pociąga do niej, coś odpycha...  
 A zazdrość, jakby szydcerze widziało,  
 Śmieje się, gwiżdżąc w orzechy leszczyny.  
 I wszystkie na myśl mi przypęłzły winy  
 Kobiety, Ewy, kochanki węzowej.

\* \* \*

Przebyłem straszną godzinę! Surowy  
 Na nią padł wyrok, bom obwinił śpiącą,  
 O tę woń kwiatów, w powietrzu mdlejącą,

O te tajemnic podpisane znaki  
 Na skrzydłach posłów miłości, motyli...  
 O te rumieńce, któremi się maki  
 Płonią, zdybane w schadzce, jak w tej chwili  
 Miałem dowody jawne i niezbite;  
 O te przygawki pszczołek wyrojonych,  
 Co lecą w słońcu jasne, złotolite,  
 Jak straż przyboczna, co hasło podaje;  
 O wszystkie cienie kryjące się w gaje;  
 O wszystkie światła, co drgają w poranku  
 Na brzóz zroszonych zapłakany wianku;  
 O wszystkie wiosny uroki i dziwy...  
 Byłem surowy, ale sprawiedliwy.

## VII.

Przed skwarem leśnych szukaliśmy cieni,  
 A las był pełen tajnych szumów, woni;  
 Olcha wilgotna bujnie się zieleńi,  
 Jodła żywicę poprzez korę roni,  
 A biały powój, co tuż obok rośnie,  
 Ręce na szyję rzuca jej miłośnie.  
 Był zachód słońca; przez zielone ściany  
 Widniał obłoczek, złotem malowany;  
 Nad ziemią mgliła się wieczorna rosa:  
 Trzodę zganiała pastereczka bosa;

Do gniazd wracały turkawki i dzierzby;  
 A mech drzemiący słuchał szeptów wierzby,  
 Co, rozczesawszy włosy, jako długie,  
 Schyliła głowę i patrzyła w strugę.

\* \* \*

Byliśmy sami, bo dzień nas odbieżał,  
 Bo między niebem a nami zmrok leżał,  
 Bo las otoczył nas, niby komnata,  
 Bo miłość dwoje oddziela od świata...  
 Milcząc oboje, zasłuchani w ciszy  
 Przedsennej lasu, wracaliśmy sami.  
 Wtem słowo: »kocham«, padło między nami,  
 Jak srebrna strzała... Kto je wyrzekł?... dziwy!  
 Z razu myślałem, że to cud prawdziwy...  
 I dotąd nie wiem, czy róża, co dyszy  
 Lubem wzruszeniem, to słowo wyrzekła?  
 Czy ta konwalia, co się do snu kładła?  
 Czy ta wiewiórka, co w gąszczu przepadła?  
 Czy jasność dniowa, która nam uciekła?  
 Czy ja sam może?... Kto zgadnie?... kto powie?...  
 Wiosna ukradkiem figle nam płatała...  
 Swawolne echo śmiało się w parowie...  
 Spojrzałem — płonie moja lilia biała...  
 Może to ona?... Zapatrzony, blady,  
 Otwarłem usta i zapytać chciałem...  
 Wtem »kocham! kocham!« jak pereł kaskady

Dźwięczy w powietrzu... czy to ja wyznałem?  
 Och! czy już taka wypadła nam ścieżka,  
 Gdzie jakaś wróżka uśmiechniona mieszka  
 I wieczorami wiosennemi, pusta,  
 Z serca wyznania dobywa na usta?...  
 Białe powoje pną się po drzewinie,  
 W mchu utulone gniazdo ptaszka ginie...  
 Jam ją pochwycił w ramiona i drżącą  
 Uczył powtarzać: »kocham! kocham ciebie!«  
 Wrażając każdą literkę płonąca  
 W różowe usta ustami mojemu,  
 Aż się zaśmiała promieńmi złotemi  
 Najpierwsza gwiazda na wieczornem niebie.

\* \* \*

Odtąd mieliśmy wspólne tajemnice  
 Z wróżką, konwalia, powojem i różą,  
 Z temi gwiazdkami, co aż oczy mróżą,  
 Żeby ją lepiej zobaczyć, psotnice!...

## VIII.

Tej cudnej wiosny cały świat był rajem  
 I aniołowie, nie ludzie, w nim żyli;  
 Nie było zbrodni, śmierci, ani nędzy,  
 Ani żądź niskich, ni łez, ni pieniędzy;

Jak gdyby z dłoni Stwórcy w tejże chwili  
 Wybiegła ziemia, uwieńczona majem,  
 I, uśmiechnięta do róż i motyli,  
 Uśmiechy szczęścia brała od nich wzajem...

\* \* \*

A ludzie... całkiem o nas zapomnieli;  
 Nic nas nie miesza i nic nas nie dzieli.  
 Nad nami błękit rozwiesza zasłony,  
 Za nami pierścień leszczyny zielony,  
 Przed nami dyszą woniejące łąki,  
 Wkoło nas kwiatów wpół rozwite pąki...  
 Cień błędny miga i ściślej jednoczy  
 Nasze ramiona i wymowne oczy.



## IX.

Mybyśmy może nawet byli inni,  
 Mniej rozmarzeni i dłużej niewinni,  
 Gdyby zwyciężać przyszło tylko siebie;  
 Ale już wszystko, na ziemi i niebie,  
 Razem na naszą sprzysięgło się zgubę.  
 I ta nas wiosna zdradziła urokiem...  
 Ziola ronily takie wonie lube,  
 Księżyc tak wabił brylantowem okiem...



Poemat szczęścia brzmi w powietrza fali;  
 Wieczór nam daje jakieś tajne hasła;  
 Słowik piosenką swą lubą się chwali  
 I znosi puchy kwiatowe do gniazda...  
 A tam, z błękitów spadająca gwiazda,  
 Co może była strąconym aniołem,  
 Leci tuż do nas i nad białym czołem,  
 Jakby zła wróżba, upadła i zgasła.

## X.

Nim dziewczę młode, idąc do kościoła,  
 Ułame różę i przypnie u czoła,  
 Chwilę nad krzakiem zadumane stoi,  
 Aż się w sumieniu własnym uspokoi:  
 Zerwie, nie zerwie? Na gałązce jeszcze  
 Długo żyć może ta różyczka biała,  
 Którą zielona wiosna wychowała;  
 Lecz, raz zerwana, umrze. Tak ja pieszcę  
 Trwożnie jej rączki, jak łabędzie puchy,  
 I patrzę w łezki, co jej w oczach stoją,  
 I mówię sobie: »My jesteśmy duchy...  
 Ta moja, nigdy, och! nie będzie moją!«  
 A do niej mówię: »Słuchaj, moja miła!  
 Gdyby już miłość takim grzechem była,

Czy myślisz, żeby twój stróż anioł biały  
 Własną swą ręką, jak mgiełka przejrzystą,  
 Ust mi nie zamknął, by nie całowały  
 Tej, którą niebu on ma oddać czystą?  
 Ale to nie grzech! wszak kocha się w tobie  
 Słowik z olszyny... wszak całujesz bratki...  
 O! daj mi rączkę!... nic złego nie zrobię!...  
 O! pozwól usta! patrzą tylko kwiatki...

## XI.

Aż wtem wieczorny powój się rozchyła  
 I pokazuje śpiącego motyla...  
 Czy tylko spał on? och! bardzo być może,  
 Iż psotnik wybrał to błękitne łoże,  
 Aby podsłuchać, co też mówi dwoje?...  
 Poranek sprawdził nasze niepokoje:  
 Ten zdrajca motyl po całym ogrodzie  
 Rozniósł na skrzydłach tę naszą rozmowę!...  
 Zarumieniony obłoczek na wschodzie  
 Powiał ją dalej... stokrocie różowe  
 Zbiegły się w kupkę gwarzyć o nowinie...  
 Wietrzyk pośpieszył poszepnąć ją trzcinnie...  
 A stamtąd muszek rozbrzękło ją grono...  
 Tak idąc, doszła aż do ludzi pono. —

## XII.

Przyszły dni ciężkie, byliśmy zdradzeni!  
 Skośne spojrzenia, nakształt długich cieni,  
 Padały na nas, zimne i kolące...  
 Jam koił, tulił ptaszę moje drżące,  
 Ale sam w duszy pokoju nie miałem.  
 Pełno się wokół ocknęło zawiści:  
 Żółty tulipan uniósł się z łodygi  
 I całem z gniewu zadygotał ciałem...  
 Brzydka makówka, co nie miała liści,  
 Sąsiadce plotkę prawila na migi...  
 A cały ogród tak pełen był szumu,  
 Żem już odchodził prawie od rozumu,  
 Jak to uciszyć, jak to uspokoić?

\*        \*        \*

Sny gorączkowe zaczęły mi roić  
 Dziwne fantazyje... to niby na łące  
 Widziałem czarne węże pełzające,  
 A ona była jaszczureczką małą...  
 To znowu we śnie mi się wydawało,  
 Że gdzieś, za światem, była chatka nizka;  
 Obok cichego, jasnego ogniska,  
 Dwoje chleb czarny jedliśmy z uśmiechem,  
 A szczęście nasze przestało być grzechem...  
 Aż wtem ją duchy złośliwe porwały

I uniosły precz, daleko ode mnie!  
 Szedłem jej szukać; boleścią zmartwiały,  
 Szedłem jej szukać; ale nadaremnie  
 Pytałem ludzi, obojętnych o nią...  
 Mężczyźni milczą, kobiety się płonią...  
 A druh mój blizki, com go miał za brata,  
 Rzekł mi: »Wybornie grasz rolę waryata«.

\*     \*     \*

Roznamiętniony, zbolący i drżący,  
 Budziłem ciszę nocną westchnieniami...  
 Aż wtem uczułem jej oddech gorący  
 Przy mojej twarzy, och! byliśmy z nami!  
 Przybiegła, lekka, jak senne widziadła,  
 Dłoń na płonącej skroni mojej kładła,  
 Pieściła włosy, oczy całowała,  
 Tuląc się do mnie, różowa i biała;  
 Z główką schyloną, jak ptaszę, co pije  
 Rosę, mówiła: »Och! jak mocno bije  
 Dla mnie to serce! Gdy byłeś daleki,  
 Tęskniłam!« — »Moja! och! moja na wieki!  
 Jak ty mnie dzisiaj uszczęśliwiasz, droga!«  
 I zamykałem w zachwycie powieki,  
 By znów sen taki uprosić u Boga.

## XIII.

Czybyś ty wierzył, mój biały powoju,  
 Że można z takich wyrwać się uścisków,  
 Że można zmysły stracić z niepokoju  
 I że oślepnąć można z nagłych błysków  
 Szczęścia i ślepo rzucić je na stronę?  
 Czybyś ty wierzył, co kwiecica koronę  
 Rzucasz na drzewo i zielone wieńce  
 Tulisz do niego, gdy grom burzy bije,  
 Że można rozpleść takie białe ręce,  
 Co się miłośnicie wieszają na szyję,  
 Że można uciec przed życia ozdobą,  
 Przestać być dwojgiem, a być tylko sobą!

## XIV.

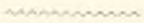
O ciche szумы! o szepty wieczora!  
 Do was się zwraca zraniona i chora  
 Dusza, pamiątek pełna i tęsknoty...  
 Ukojcie wy mnie swojemi pieśniami!  
 Niech będzie cisza i niechaj nad nami  
 Zadrgają srebrem błękitne namioty!...  
 O mój słowiku, piej wtóry miłosne!  
 Dajcie mi różę, co łono rozchyła  
 Pierwszej pieszczocie białego motyla,  
 Niechaj przypomnę ją, miłość i wiosnę...

## I.

### Fragment.

Skarżycie się na wiek, co ideały  
Odziera z szat i waży je i mierzy...  
Skarżycie się, że duch poezyi biały  
W śmiertelnym śnie z strzaskaną lutnią leży...  
Skarżycie się, że niema śpiewać komu,  
Że zagłuchł świat, do złotej biegnąc mety;  
Że wpośród burz i krwawych walk ogromu,  
Bez echa drży znikoma pieśń poety.  
Lecz gdzież jest pieśń, co czarów swych potęgą  
Przykuwa słuch leących w bój szermierzy,  
Ołtarzem jest, świętością i przysięgą,  
Przez którą duch, zwątpiwszy nawet, wierzy?  
Lecz gdzież jest pieśń, z marmuru wyrzeźbiona,  
Jak biały bóg, co nocy cień zwycięża?...  
Gdzie jest ta pieśń, co błyszczy, jak korona  
Słonecznych zórz, na jasnem czole męża?...  
Lecz gdzież jest pieśń, co jako młot olbrzyma,  
Z surowych skał wykuwa dzieło ducha?...

Gdzie jest ta pieśń, co berło prawdy trzyma,  
Pada, jak grom, a jako pożar bucha?  
Lecz gdzież jest pieśń, co czołem swem wybiega  
Do wyżyn tych, gdzie pnie się duch stęskniony?  
Gdzie pieśń, co skry w zmartwiałej krwi zażęga  
I hasłem jest, pod którym wrą miliony?  
Lecz gdzież jest pieśń, co w przyszłość wkracza śmiało,  
I ziarnem prawd zasiewa niwę dziką?...  
Gdzie jest ta pieśń, co duszę ma i ciało  
I wielkich słów ludzkości jest muzyką?...  
Ach! taką pieśń, lirnicy małowierni,  
Zanućcie tu, w powszednim ziemi gwarze,  
Gdzie stoi tłum ostygłej, martwej czerni,  
I garstka tych, co strzegą jej ołtarze...  
Niech taka pieśń, jak orzeł, w górę wzleci,  
A trupy drgną. Zaprawdę, mówię wam,  
Wy znajdźcie ton, co tętnem jest stuleci,  
Ja milion serc wzruszonych pieśnią dam.



## Echa majowe.

### I.

Zaklinam ciebie, o ty ciemny lesie,  
Przez ciszę twoją,  
Zaklinam ciebie, niechaj mnie ukoją  
Twe szумы!  
Niechaj, jak dziecię rozplakane, senne  
I trwogą drżące,  
Niechaj, jak dziecię, serce bolejące  
Uciszę!...  
Tu, jak w świątyni tajnej przyrodzenia,  
Anioł przelata...  
Tu, jak w świątyni, dzieli mnie od świata  
Milezenie.  
Gibkie kolumny tych dębów i sosen  
Pod niebo dążą;  
Gibkie kolumny łączą się i wiążą  
W arkady...  
Młoda leszczyna z poszeptem modlitwy  
Uchyła czoła;



Młoda leszczyna uczy drobne zioła  
 Pacierza...  
 I widać ołtarz u góry błękitny  
 Przez drżące liście;  
 I widać ołtarz gdzie płonie ogniście  
 Dnia gwiazda...  
 Ja spuszczaam oczy... niech szczęśliwi toną  
 W obliczu słońca;  
 Ja spuszczaam oczy, — źrenica mdlejąca  
 Łzy kryje...  
 I piersią padam na wilgotną ziemię,  
 Na mchy zielone,  
 I piersią padam na zioła zroszone,  
 I płaczę...  
 Strudził mnie uśmiech przybrany dla ludzi;  
 Tu chcę być sobą...  
 Strudził mnie uśmiech, niezgodny z żalobą  
 Mej duszy.

\*                      \*

Bogdajem była, jak sosna w gęstwinie,  
 Dziko bujała;  
 Bogdajem była jako brzoza biała,  
 Samotną...  
 Bogdajem była, jako głogi leśne,  
 Przekwitła marnie...

Bogdajem była jako leśne tarnie

Uwiędła...

O lesie ciemny! niech ja się rozwieję

W mgły lekkie, sine...

O lesie ciemny! niech ja tak przeminę,

Jak echo...

I niech nade mną perłami zarosi

Deszczyk majowy...

I niech nade mną słowiki z dąbrowy

Zawiodą!...

Janek

i  
Zurdek

II.

Senne róże, białe róże,  
Dobrej nocy wam!  
Lśni miesięczek na lazurze  
Wskróś srebrzystych lam...  
I zaściela białe łożo  
W modrych rąbkach fal,  
Wodnym liliom na jeziorze,  
Zapatrzonym w dal...

\* \* \*

W lekkich mrokach światłość blada  
Budzi smętny dzień...  
W fantastyczną tkanę składa  
Wiotkich trawek cień...  
Drży czółenko uwiązane,  
Jak niewolna dłoń,  
Żeby plusnąć w wody szklane,  
W zwierciadlaną toń...

\* \* \*

Duch, co tęskni, duch, co płacze,  
 W tę majową noc,  
 W ściany klatki swej kołacze,  
 Więzów targa moc...  
 Myśl o gwiazdy srebrne trąca,  
 Lecąc w inny świat...  
 Pierś otwiera się mileżąca,  
 Jak wieczorny kwiat...

\*                      \*

Szczęścia! szczęścia, choćby chwilę  
 Przelotną, wśród burz,  
 Co skrzydełka ma motyle,  
 Znika z brzaskiem zórz...  
 Choćby tyle, ile rosy  
 W polnym kwiecie drży!  
 Wiosno! ziemio! wy niebiosy,  
 Szczęścia dajcie mi!...

Głos tęsknoty echo budzi  
 W drżących listkach drzew...  
 Cicho!... ciszej! niech snu ludzi  
 Nie zakłóca śpiew...  
 Mgła się wije po lazurze...  
 Ja na fletni gram...  
 Białe róże, senne róże,  
 Dobrej nocy wam!

### III.

Nie miejże urazy do mnie słońko moje,  
Że ja w blaskach twoich zachmurzona stoję!  
Nie miejże urazy, słońko brylantowe,  
Że ja mam lzy w oczach i schyloną głowę.

Ty chodzisz po niebie, po błękitnem niebie,  
Złote chmurki biją gościniec dla ciebie,  
Zorza cię obrzuca różami jasnemi...  
Ty chodzisz po niebie, ja — po smutnej ziemi.

\* \* \*

Gdy oczy otworzysz, blaski dnia się złocą:  
A ja wstałam czarną, bez rozświtu, nocą...  
Ty wiesz, że gdzie pójdiesz, weźmiesz swe promienie;  
Ja, choć wołam: »światło!« niosę z sobą cienie.

\* \* \*

Ty kąpiesz swe czoło w jasnym, cichym zdroju;  
A ja myśl swą nurzam w falach niepokoju...  
Ja rozświecam ciernie, ty rozświecasz róże;  
Ty tylko pogodę, ja widziałem burze.

\* \* \*

Droga twoja, słonko, równa jak pierścionek;  
Cicho w morzu tonie kończący się dzionek;  
Nie znasz łez tęsknoty, nadziei uśmiechu;  
Zachodzisz bez żalu, wschodzisz bez pośpiechu.

Ja znam błędne blaski i zaćmienia ducha;  
Wiem, że dziś, to odłam przeszłości łańcucha;  
Wiem, że jutro wstanie z ścisłością straszliwą,  
Jako dawnych przyczyn konieczne ogniwo...

Więc drzę i na zachód oczy zwracam z trwogą,  
I pytam: gdzie idą? czy cienie przemogą  
Gasnące te blaski? czy wskrzesną o świcie?  
I pragnę ust tchnieniem utrzymać ich życie.

Nie bywasz ty, słońko, w ponurej ciemnicy,  
 Gdzie nędzny skazaniec zamiera z tęsknicy;  
 Nie bywasz, słoneczko, w poddaszu ubogiem,  
 Gdzie wilgotne ściany kostnieją za progiem...

Nie widzisz ty nigdy zbrodni, skrytej w cieniu;  
 Nie wiesz, co bezsenna noc mówi sumieniu;  
 I ledwo promyczek pierwszych brzasków błady  
 Zasłyszysz żądź mętnych płomienne narady.

Ty nie widzisz, słońko, z wysokiego nieba,  
 Jak się sen sprzedaje za kawałek chleba;  
 Ty nie widzisz matki schylonego czoła  
 Nad kolebką dziecka, co próżno jeść woła...

Nie widzisz, jak walczy, upada, zwycięża,  
 Ten młody zapaśnik, co urość chce w męża;  
 Nie widzisz ty słońko, jak myśl gorejąca  
 Wypala się cicho przy blaskach miesiąca...

Nie widzisz, jak we łzach stoi lilia blada;  
Nie widzisz, jak gwiazda zabłąkana spada;  
Nie słyszysz szelestu drżącego oddechu,  
I nie znasz pragnienia, ni walki, ni grzechu.

\*

\*

Ty królewskie czoło podnosisz w błękity,  
Nad świat ten złamany, skłócony, rozbity,  
I nie wiesz, ciskając promieni swych słupem,  
Że jesteś gromnicą, zatloną nad trupem.

Więc nie miej urazy do mnie, słońko moje,  
Że ja w blaskach twoich zachmurzona stoję;  
Nie patrz na mnie z dziwem oczyma złotemi...  
Ty chodzisz po niebie, ja — po smutnej ziemi!

WŁASNOSC  
OLSKIEJ MACIERZY

SZKOLNEJ.



*Ni*.....

## Koło Kieleckie

Wskrósł nocy.

W noc cichą czuwam, a myśl wyteżona  
Lecących światów chrzęst płomienny słyszy...  
I drzę, i tęskne wyciągam ramiona  
Do tajemnicy nurtującej w ciszy.

O! niech mi powie, kto gwiazd myślą sięga  
I szmeru tajnych prądów życia słucha,  
Gdzie jest tym prawdom złożona przysięga,  
Którymi ludzkość karmi swego ducha?

\* \* \*

Komu i na co jej zbiorowe cele?  
Gdzie ujście mają jej walki, jej trudy,  
Jej uniesienia, jej ból, jej wesele?  
Gdzie lecą wieki? i gdzie idą ludy?

Czy ty, przyrodo, chwytasz ich porywy  
 Słońcu na strzały do złotej cięciwy?  
 Czy z nienawiści kujesz klęsk swych miecze?  
 Czy w perły ścinasz gorzkie lzy człowiecze?

Czy z myśli mędrców budujesz gór szczyty?  
 Czy z serc niezłomnych wykuwasz granity?  
 Czy z młodych marzeń przedziesz chmurki płowe?  
 Czy z tęsknot deszcze lejesz brylantowe?

Czy z smutków czarnych dzikie wznosisz puszcze?  
 Czy uściśnienia przeobrażasz w bluszcze?  
 Czy z pocałunku stwarzasz różę białą?  
 Czy z cichych dumań zmierzchom dajesz ciało?

Czy ty, przyrodo, uśmiechy radosne  
 Zaklinasz w kwiaty? chwilkę szczęścia — w wiosnę?  
 Nadzieję w ptaszka, co rankiem świegoce?  
 Przyjaźń — w gwiazd światło? miłość — w letnie noce?

Czy ty z narodzin i śmierci okrzyku  
 Zgłoski wykuwasz w tajemnym języku?  
 Czy ty z uniesień wichrom ciało dajesz,  
 A ostrzem wzgardy dyament w ziemi krajiesz?

Czy ty zwątpienie w mgły rozsuwasz ciemne?  
 Rozpaczą ognie podsycasz podziemne?  
 Z tajnych udręczeń rdze osadzasz krwawe,  
 A żądze topisz w buchającą lawę?

Czy z wielkich czynów światy stwarzasz nowe?  
 Czy krwi wylanej rzeki rubinowe  
 Przed nowem słońcem przepromieniasz w zorze?  
 Czy pragnieniami chłosisz sine morze?

\*


\*

Czy głucho gniewy zaklinasz w wulkany!  
 Wzruszenia tłumów — w grzmot powstrzymywany?  
 Krzywdy rozwierasz w przepaście bezdenne,  
 A w pomście gromy rozpalasz płomienne?

Jak ptak nad morzem, tak na skraju świata  
Myśl niespokojna, w skrzydła bijąc, lata  
I wskróś przeniknąć pragnie nurty mętne.  
I w ciszę rzuca pytania namiętne.

Pójdę, gdzie tchnienia czas nabiera w biegu...  
Pójdę, gdzie przestrzeń linie swe rozmierza...  
Tam, na przepastnym pochyłym się brzegu,  
Gdzie nicość w życie, jak piorun uderza...

Tam oko w oko z tajemnicą stanę,  
Wieczne ogniwa bytu liczyć pocznę,  
Aż prawda zrzuci zasłony obłoczne  
I duch mój przejrzy to, co niezbadane.



## Tęsknota.

### I.

Wpół senne duchy owiewa  
Przezuciem świtu;  
W zmroki wiosenne przywdziewa  
Szatą z błękitu;  
Ucisza gwary i szumy  
Skinieniem ręki;  
Lirnikom szepeze ich dumy,  
Ptaszkom — piosenki;  
Poezyą w krwi młodej płynie  
Z cichym szelestem;  
Spłonionej mówi dziewczynie;  
»Oto ja jestem«;  
Na smutnem liou drży cieniem  
Spuszczonych powiek,  
I w pierś ci puka pragnieniem:  
— »Zbudź się, tyś człowiek!« —  
Wśród tłumu staje milcząca,  
Niby sierota,

I myśl uśpioną potraça —  
Mgiełka, tęsknota.

## II.

Zwycięską prawdy potęgą  
Ducha uderza;  
Czoło pochyla nad księgą,  
Krzepi szermierza;  
Do ideałów ramiona  
Wyciąga drżąca,  
I w piersi chwyta spragniona  
Złote skry słońca.  
Nad bladym czołem czcicieli  
Chwałą wybłyska;  
Unosi z wieków topieli  
Ducha zjawiska:  
Potężnym pragnień poczęciem  
Rodzi olbrzymy,  
Z ust zdmuchuje dotknięciem  
Czczych rojeń dymy.  
Kogo poślubi, ten szczyty  
Orłem przeleci,  
Aż ujrzy ciche błękity, —  
Przystań stuleci,

I już nie zazna pokoju  
     Cichej godziny,  
 Aż się napije u źródła  
     Pierwszej przyczyny.  
 W mędrca rozbudza pragnienia  
     Podniosłe, czyste,  
 I wraża w ludów sumienia  
     Prawdy wieczyste.  
 Jest tchem idącej ludzkości  
     W pracy i w znoju,  
 Uśmiechem nieskończoności,  
     Sztandarem w boju;  
 I wschodzi w ducha głębinie  
     Cicha i złota,  
 Aż w blaskach wiedzy wypłynie; —  
     Gwiazda, tęsknota.

### III.

Drży, woła czynu, płonąca,  
     Ziemię, popycha  
 Przez noc chaosu do słońca,  
     Walką oddycha.  
 Pierś jej — to wulkan, jej oczy —  
     To zorza krwawa;

Przez śmierć do życia, grzmiąc, kroczy,  
 Przez gwałt — do prawa.  
 Dłońmi własnymi rozrywa  
 Pąki przyszłości,  
 I na dzień biały dobywa  
 Kwiaty ludzkości.  
 Wre, milcząc, i tajemnicze  
 Roznieca żary,  
 A gdy odsłoni oblicze,  
 Świat trzeszczy stary.  
 Jady krzywd zbiera i mierzył  
 I pije błada...  
 Aż gdy godzina uderzy,  
 Piorunem spada.  
 Walczy i pragnie, i płonie,  
 Duchami miota,  
 I chodzi w ogniów koronie —  
 Burza, tęsknota.


~~~~~

IV.

W wygasłe wpatrzona światy,  
 W gwiazdy strącone,  
 Na piersiach zeschę ma kwiaty,  
 Z dumań zasłonę.



Zliczyła wszystkie mogiły,  
Wszystkie ofiary...  
Do walki brakło jej siły,  
Celu i wiary.  
Co ziemskie, rzuciła ziemi;  
Dziś, z sercem zgasłem,  
Oczyrna patrzy cichemi  
Za nowem hasłem.  
Groby miłością oplata,  
Jak gniazdo puchem;  
Na świecie, lecz nie ze świata,  
Cieniem jest, duchem...  
Czar wspomnień, ból rozłączenia,  
To jej istota...  
Życie, jak powój — ocienia,  
Cisza, tęsknota.





Czem jesteś?

Leciećbym chciała daleko... daleko...  
Gdzie z brzoź płaczących srebrne rosy cieką,  
Kędy szum lasów pierś przejmuję drzeniem...  
— Czem jesteś, szczęście? — wspomnieniem?

Leciećbym chciała tam, gdzie olchy rosną,  
Gdzie głogi dzikie zakwitają wiosną,  
Gdzie się powoje, jak baśń dziwna, plotą...  
— Czem jesteś, szczęście? — tęsknotą?

Leciećbym chciała — za jasnym gdzieś zdrojem  
Myśl puścić wolno, jak wody bieżące...  
I widzieć tylko łąn zboża i słońce...  
--- Czem jesteś, szczęście? — spokojem?

Leciećbym chciała, lecz nie wiem do czego  
Wyciągnąć ręce i przyłgnąć płomieniem...  
Idę — a za mną cięń smutku dawnego...  
— Czem jesteś, szczęście? — złudzeniem?

\* \* \*

Leciećbym chciała do chwilek tych jasnych,  
Gdy życie pragnień nieświadome własnych,  
Jest jako blaski, co na wschodzie dniają...  
— Czem jesteś, szczęście? — nadzieją?

Leciećbym chciała... sen cichy, sen złoty,  
Prześnić samotna i konać z tęsknoty,  
I »kocham« mówić dalekiem spojrzeniem...  
— Czem jesteś, szczęście? — pragnieniem?

Leciećbym chciała i nie wrócić więcej...  
Raz tylko serce uderza goręcej,  
A potem cisza... wszystko się prześniło...  
— Czem jesteś, szczęście? — mogiłą?

Z dni smutku.

I.

O! dajcie usta wszystkim krzywdom ziemi  
I wszystkim nędzom i tęsknotom ducha,  
I niech się niebo drzwiami błękitnymi  
Otworzy i Bóg niech słuha!

Czy Tobie, Boże, imię: »grom i burza«,  
    Że świat Twój w ogniach się nurza?  
Czy Tobie, Boże, imię: »błyskawica«,  
    Że mu miecz nagi przyświeca?  
Czy Tobie imię: »Śmierć i wytepienie«,  
    Że się krwi leją strumienie?  
Czy ziemia w chwili gniewu nawałnicy  
    Iskrą Ci prysła z źrenicy?  
Czy, jeśli bóstwo boleść uczuć może,  
    Łzę z oczu padła Ci, Boże?

Czy, gdyś ją cisnął w wir światów bez końca,  
 Smutkiem ściemniała twarz słońca?  
 Czy padł cień zgrozy w nieskończoność jasną,  
 Gdyś wydziedziczył myśl własną?

\* \* \*

Czemu, o Boże, prawdzie nie dasz krzyku  
 Głośnego w każdym języku?  
 Czemu, gdy forma zna niezmiennie prawo,  
 Duch wiedzę zdobywa krwawo?  
 Czemu wpatrzone w ideał daleki,  
 Orłem nie lecą doń wieki?  
 Czemu to pełne boleści wahanie  
 Na drodze dobra, o Panie!?  
 Dlaczego ludzkość ustaje, powraca,  
 Zdobyte plony zatracą,  
 A całość prawdy rozbiwszy w okruchy,  
 Łamie pojęcia i duchy?  
 Czemu jej, Boże, nie powiesz: »mdlejąca  
 Z pragnienia, pij światło słońca!«  
 Czemu pozwalasz, by w zmierzchy dziejowe  
 Szła, krwawiąc piersi i głowę?

\* \* \*

Jeśli jest myślą Twą i Ciebie sięga,  
 Gdzie jej świętość i potęga?

Jeśli ci obcą, czemu tak stęskniona?  
 Królową, — gdzie jej korona?  
 Branką, przykutą do wozu Twej chwały, —  
 Czemu w niej duch taki śmiały?  
 Wysłaną w nocy po prawdę pątnicą, —  
 Gdzie gwiazdy, które jej świecą?

\*     \*     \*

Dech tracąc, ludzkość, jak nurek, zapada,  
 W otchłań, gdzie perła lśni biała,  
 I tysiąc śmierci widzi w tej głębinie..  
 Ach! czy ze skarbem wypłynie?

Ludzkość się zrywa, jak ptak zponad ziemi  
 Skrzydłami skrepowanemi..  
 Przed nią dzień jasny i słońce nowych zorze;  
 Lecz czy doleci, o Boże!...

## II.

Czemu ta przepaść, która braci dzieli  
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,  
Tak jest bezbrzeżną, jako oceany,  
A taką straszną, jak rozwarte rany?...  
Czemu jej zrównać, zapełnić nie mogą  
Wybuchy pomsty ogniów swych pożogą?  
Czemu jest zawsze, jak rozpacz, bezdenna,  
A jak nienawiść, okropna, płomienna?

Krwią swoją ludzkość zalewa ją co dnia  
W głębie jej leci i cnota, i zbrodnia,  
I lza, i klątwa, i miłość, i zdrada;  
A przecież wszystko marnie gdzieś przepada...  
Olbrzymie serca i umysłu siły,  
Ruchy milionów, milionów mogiły,  
Czas rzuca na dno, przez lata, przez wieki,  
A brzeg od brzegu zawsze tak daleki!

W przepaść tę szermierz rzuca hasło boju,  
 Cichy myśliciel — ustawę pokoju,  
 Mędrzec — pęk światła słonecznego z nieba,  
 Nędzarz — pot krwawy i czarny kęs chleba,  
 Bohater — sławę, geniusz — swoje trudy,  
 Życie — swe prawa i swoje zjawiska,  
 Duch — swą tęsknotę, dzieje — całe ludy;  
 Bóg nawet wstaje i grom swój w nią ciska...  
 A przecież, dotąd pragnieniem ziejąca,  
 Plamą jest ziemi i przeczeniem słońca.

\* \* \*

Jestże kto, pytam, co zapładnia ziarna,  
 Które ta zgroza pochłonęła czarna?  
 I czyż z nich kietły złoty plon wystrzeli  
 I bratnim chlebem ludzkość się obdzieli?

\* \* \*

O! śpiesz się słońce, co wschodzisz powoli  
 Nad przepaściami głębokich niedoli!  
 O! śpiesz się słońce, niech dzień nowy wstanie!  
 Wszak tylko światło zwycięża otchłanie.



### Najkrwawsze pole.

Nie to jest pole najkrwawsze na ziemi,  
Co pije z wojen rubinowej czary  
I tak się bieli trupami ludzkiemi,  
    Jak morskie piany, albo białe śniegi...  
Nie to, gdzie leżą strzaskane sztandary  
Na męcznych piersiach, które ich broniły  
I kędy, zwarte w dwa wrogie szeregi,  
    Ścierają się ludów siły.

Nie to, nad którym, jak śmiertelne chusty,  
Ciagną się dymy ciężkie, ołowiane...  
Nie to, co wiecznie spragnionemi usty  
    Ssie pierś ludzkości, jak ranę.  
Nie to, gdzie żołnierz konający pada,  
Zdała od chaty, od żony, od dzieci,  
I gdzie się jękiem ostatnim spowiada  
    Gwieździe, co nad nim, drżąc, świeci.  
Nie to, nad którym wichrom jęczeć trzeba,  
Gorzkiemi łzami padać chłodnym rosom,

I dzwonić pustym na zagonie kłosom,  
Na przyjście roku bez chleba.

\* \* \*

Lecz to, gdzie duchy, jak orły zwaśnione,  
Biją się w chmurach o prawdę nieznaną,  
I gdzie od wieków w dwie strony targano  
Nieskończoności zasłonę.

Gdzie w zmrokach nocy, w walk krwawych zamieci,  
Tysiąc hipotez ciska błyskawice,  
I ponad którem wieczna burza leci,  
Niosąc duchów nawałnice...

Lecz to, gdzie jeszcze nigdy nikt z śmiertelnych  
Ostatecznego nie dopiął zwycięstwa:  
To, gdzie zastępy najśmielszych i dzielnych  
Mają mogiły męczeństwa.

Gdzie myśl, podnosząc miecz badań stalowy,  
Przecina ludzkość na wrogie połowy

I duchy na ostrzu trzyma,  
Gdzie, ciężkim wieków wstrząśnione pochodem,  
Walą się gmachy posepną ruiną;  
Gdzie bogi, wiary i idee giną,

Przed ustaw wiecznych dowodem.

Gdzie w sam war bitwy, co grzmi wiekuiście,  
Ludzkość potężnych swych atletów ciska,  
I gdzie z nich każdy znaczy swoje przyjście  
Łuną nowego ogniska.

O pole straszne!... o szranku ty krwawy,  
Co wiekom swoim obwołujesz hasło!

Nad tobą, wpośród dziejowej kurzawy,

Sto słońce już wzeszło i zgasło;

Sto ramion prawdę namiętnie chwyciło,

Za całość biorąc rozbite atomy;

Sto serc tu pękło, gdy ideę białą

Kruszyły fakta, jak gromy.

Nad tobą sztandar wieczności szeleści,

Porywy kują miecze twych rycerzy...

A ludzkość czeka, konając z boleści,

Aż chwila ciszy uderzy.

Jak wichry, które z dwóch krańców pustyni

Rwą się, miotając swe piaszczyste żary,

Tak tutaj walczą w imię bóstw i wiary

Świątynia przeciw świątyni...

A człowiek, zgrozą przejęty i blady,

Patrzy, jak marmur, krwią zbryzgany, pęka...

I jak ognista druzgoce go ręka,

W gruzy mogilnej zagłady...

\* \* \*

O bojowisko olbrzymów!... o pole,

Gdzie się ścierają żywe ducha prądy!

Wszystkie sprzeczności i wszystkie niedole

Czekają na twoje sądy!

Najszlachetniejsze, najgorętsze duchy,

Przekazujące wiekom swoim chwałę,

Są wpośród ciebie, jak te chusty białe,

Co tłumią walki wybuchy...

Przez chwilę, jako gwiazdy, błękitnieją

Ponad ludzkością konającą w boju,

I opatrują rany jej nadzieją

Wiekuistego pokoju.

Lecz czas uderza w skrzydła i ulata...

Rwą się do walki nowe pokolenia...

A nad okręgiem zwichrzonego świata

Wieje chorągiew zniszczenia.

I nie wiem, czemu Bóg wielki w błękiecie

Nie zerwie z prawdy słonecznej zasłony,

Aby spoczęły już raz te miliony,

Co walczą na śmierć i życie!

## Modlitwy wiosenne.

### I.

»Ach! skrzydeł ludzkości!«...<sup>1)</sup>  
Niech wolny duch wzleci,  
Szeregom stuleci  
W krainę światłości  
Niech drogę ukaże!  
Niech jutrznią oświeci  
Narodów ołtarze,  
I białe sztandary  
Pokoju, miłości,  
Niech w ciszy rozwinie!  
Niech czynów ofiary  
I wiedzy świątynie,  
W noc burzy, zawieci,  
Jak przystań nadziei,  
Dla tłumów otworzy!...  
Ach! skrzydeł ludzkości!...

---

<sup>1)</sup> Rückert.

Ach! skrzydeł!... duch wolny,  
Niech z wiecznych praw siłą  
Ruch życia mozolny  
Harmonią zespoli!  
Niech z dzielnych dusz woli  
Wykrzesze dyamenty,  
I światu, co bryłą  
Wystygłą się zdaje,  
Przypomni świt boży,  
Gdy został poczęty!...  
Z przyszłością dni nasze  
Niech celem skojarzy!  
Niech tehem swym ogrzeje  
Zmartwiałe poddasze...  
Chleb światła rozkraje  
Pomiędzy nędzarzy!  
Przez wieki, przez dzieje,  
Przez zmroki i świty  
Duch wolny niech wieje,  
Jak szare to ptaszę,  
Co leci w błękity;...  
Niech życie spaczone  
Uzacni, uprości!...  
Błyskawic koronę  
Niech twórczej da siłę  
I w ziemskim się pyle  
Znieważać przestanie!...  
Ach! skrzydeł ludzkości!...

Ach! skrzydeł, o Panie!...  
Niech wszystko, co silne,  
Podniesie swe loty!...  
I ziemia obrotu  
Niech swoje przynagła!...  
A prochy mogilne  
I cieniów szeregi  
Niech próżno nie ciężą  
U piór naszych żagła!  
Duch niechaj otchłanie  
Potężnym swym ruchem  
Wypełni po brzegi!...  
Niech prawdy czciciele  
Dostojnie zwyciężą!  
Niech wszystko, co żywe,  
Rozwija się śmieie!  
Niech wszystko, co wielkie,  
Zostanie odczutem!  
Nad znojną prac niwę,  
W przestrzenie wszechświata  
Po rosy kropelkę,  
Po siłę miłości  
Duch niechaj ulata!...  
Ach! skrzydeł ludzkości!

## II.

Ty nam, Boże, nie strój ziemi  
W kwiatów puchy,  
Póki łzami gorącemi  
Płaczą duchy...  
Póki głos namiętny bije  
W Twe niebiosy,  
Niechaj ziemia dżdżu nie pije,  
Kwiaty — rosy.  
Póki siły dusz omdlałe  
Giną marnie,  
Niech nie kwitną róże białe,  
Ani tarnie...  
Póki ludzkich nędz miliony  
Życie kryje,  
Niech się lasów cień zielony  
Nie rozwije...  
I niech pączki swe drzemiące  
Lilia chowa,  
Póki głuchych skarg tysiące  
Drży bez słowa...



Niech słowik oniemieje  
Nad dąbrową,  
I niech pieśń zawiodą dzieje  
Hiobową.  
Niech strumienie srebrne wieści  
Ciszej niosą,  
Aż rozbrzmieje krzyk boleści  
Z ranną rosą...  
Burza płaszczy niech rzuci ciemny  
Na błękity,  
Aż wybuchnie ból tajemny,  
Ból ukryty.  
Boże! z ziemi zdejm zasłonę  
Oblubieńczą,  
Póki duchy znieważone  
W pętach jęczą...  
Niechaj w czarnym kirze stanie  
Jak sierota,  
Gdzie mgła światów przez otchłanie  
Wieje złota...  
Albo uderz w nią, jak gromem  
Swą prawicą...  
Niech ją ogień niewidomem  
Zieniem chwycą,  
I własnymi swemi żary  
Niech wypiecze  
Blizny swoje, ból swój stary,  
Łzy człowiecze.

Niech tak stanie gorejąca,  
Jak wulkany,  
I odkryje w blaskach słońca  
Swoje rany,  
Aż Ty, Boże, dojrzysz przecie  
W swym lazurze,  
Jakie kwitną dziś na świecie  
Krwawe róże!...  
Aż ciemnoty zdejmiesz znamię  
Z ludów czoła,  
Do walk cichych wzbudzisz ramię  
Archaniola...  
Aż się w ruch potężny wzmogą  
Żywe prądy,  
I zwycięską zdepcą nogą  
Nowe lądy...  
Aż zakipią oceany  
Od serc bicia,  
Aż podniesie świat zbratany  
Toast życia...  
Wtedy, Boże, niech zakwitną  
Łąki świeże,  
Niech się w zieleń aksamitną  
Las ubierze;  
Wtedy daj nam na ołtarze  
Wieńce nowe  
I napoje w wiosny czarze  
Brylantowe...

Lecz dziś, gdy łzami krwawemi  
Płaczą duchy,  
Pocóż, Boże, na tej ziemi  
Kwiatów puchy?

---

### III.

W noc wiosenną, w noc majową,  
Duch się zrywa i ulata  
Ponad nędze i lzy świata,  
    Archanielską trzyma straż...  
Ach! czy znajdzie wielkie słowo  
Tajemnicy wszechistnienia?  
Czy też konać ma z pragnienia  
    Ojcze nasz!...

\*

Gdzież ukoi swą tęsknotę,  
Burzą zwątpień wskroś miotany?  
Gdzie poniesie lot zbłąkany?  
    Ty mu, Boże, drogę wskaż!  
Bo gdy zgasną blaski złote,  
Znużon walką nadaremną,  
Zapaść może w otchłań ciemną,  
    Ojcze nasz!

\*

\*

\*

Ziemia twoja, w oceanie  
 Księżycowych blasków tonie  
 I w błękitnej mgły osłonie

Patrzy w cichą nocy twarz...  
 Srebrną zbroję daj jej, Panie,  
 Co nie gasłaby o świecie,  
 Do walk długich, jako życie...  
 Ojcze nasz!

\*

Tęsknot dreszcze, żary ducha,  
 Szumy lasów, oddech ziemi,  
 Akordami potężnemi

Wtórzą hymnom, które grasz...  
 O! niech ludzkość je podsłucha!  
 Niech braterstwo, miłość, zgoda,  
 Kryształowy ton im poda,  
 Ojcze nasz!...

\*

Niepoczęty, nieskończony,  
 Dla uśpionych zjawisk bytu,  
 Oddalone punkta świtu

Stawiasz Ty, co wiecznie trwasz!  
 Cóż Ci znaczą lat miliony?  
 Ale duch się rwie w człowieku:

On chce skrzydłem być dla wieku,  
Ojcie nasz!...

\* \* \*

Jeśli nie dość dźwiga znoju  
Szala Twoja gorejąca,  
Rzuć pragnienia dusz tysiąca  
I w błękitach świat ten zważ!  
Łez, tęsknoty, niepokoju,  
Damy tyle, tyle, Panie,  
Że ta chwiejna waga stanie,  
Ojcie nasz!...

W noc tę cichą, w noc tę błogą,  
Rozkwieconą, księżycową,  
Ponad ziemi sennej głową  
Gwiazd Twych chórom śpiewać każ!  
Niech marzenia mleczną drogą  
W świat ją inny, lepszy wiodą...  
Niech odetchnie w nim swobodą,  
Ojcie nasz!...

\* \* \*

A bezsennych duchów tłumi,  
Co prawd wiecznych biegu śledzą

Tajemniczych głębin wiedza

W tej srebrzystej ciszy darz!

Niech usłyszą orle szумы

Pracuj naprzód, w dal, ludzkości...

Niechaj ujrzą świt przyszłości,

Ojczyzna nasz!

#### IV.

Nie skowronkom, nie słowikom,  
Ty, co stwarzasz maj,  
Lecz śpiewakom i lirnikom  
Siłę pieśni daj!  
Starych mistrzów żywe zdroje  
Ledwo starczą już,  
By ugasić niepokoje  
Gorejących dusz.  
Wiosny! wiosny nam dla pieśni!  
Niechaj wstanie wieszcz...  
Niech nam pierś otrząśnie z pleśni  
Wielkich wzruszeń dreszcz!  
Niech się zbudzi narodowa  
Lira z śmierci snu!  
Niech rozdźwięknie wieszczę słowa,  
Niech nabierze tchu!  
Skrzesz, o Boże! błyskawicę  
Płodnych wiosny burz...  
Odrodzenia tajemnicę  
W pieśni naszej złóż!



Niech, jak zdrój ojczysty wzbierze  
 Z naszych łąk i pól...

Niech, jak pszczoła, pyłki świeże  
 Znosi w wspólny ul.

Niechaj spadną brylantowe,  
 Urodzajne dżdże,

Niech zapłodnią pieśni nowe,  
 Niech orzeźwią je!

Dziś, gdy dajesz posłuchanie  
 Najnędniejszej z traw,

Czyż wyzujesz ducha, Panie,  
 Z odrodzenia praw?

Zasłuchana w pieśń przyrody,  
 Czuję lzy i ból...

Pieją ptacy, szumią wody,  
 A gdzież jest ich król?

Gdzie potężne owe hasła,  
 Które budzą lwy?

Gdzie pieśń nasza? czy zagasła?  
 Czy ją tłumią lzy?

Czy już Tobie zbrakło, Panie,  
 Nieśmiertelnych lir?

Kiedyż dla nas wieszcz powstanie,  
 Z pieśni zerwie kir?

Gdy wokoło wre i tętni  
 Życia świeży ruch,

Czyż my tylko siedziem smętni,  
Jak wyklęty duch?  
Czyż się wszystkie skry wytlily  
Piorunowych drgnień?...  
Co jesteśmy? martwe bryły?  
Co jesteśmy?... cień...

\* \* \*

Panie! dziś przed Tobą stoję,  
Dziecko ziemi tej...  
Zlej Ty na nią światła zdroje,  
Zdroje siły zlej!  
Myśli nasze i pragnienia,  
Jako struny zwiąż,  
Aż z naszego pokolenia,  
Wstanie lirnik-mąż!  
Dostrój wyżej, wyżej jeszcze,  
Duchów naszych ton,  
Niech uderzą pieśni wieszce  
W serca, jako dzwon!...

Jak mi smutno!

Ach! jak mi smutno być, jak fala drżąca,  
Która, w namiętnych uniesień zapędzie,  
Srebrną pierś swoją o ziemię roztrąca,

I łamie skrzydła łabędzie...

W każdym porywie czuć całą istotą,  
Jak szklane kręgi powietrza mnie gniołą,  
I tkwić w materyi władzami wszystkiemi,  
Jak niewolnica spętana łańcuchem,  
I wiecznie ciężyc — i spadać ku ziemi...  
Ach! jak mi smutno, że nie jestem duchem!

\* \* \*

Skrzydłami z tobą spleciona, a cicha,  
Leciećbym chciała w dalekie błękity,  
I pić wieczyście rzeźwiące zachwyty

Z lilii kielicha...

I na żądź ziemię ze smutkiem poglądać,  
I nic nie pragnąć, niczego nie żądać  
I być dla ciebie, mój tęskny i biały,  
Bliźnim aniołem — i bratem — i druhem...

I w słońce lecieć, jak dwie srebrne strzały...  
 Ach! jak mi smutno, że nie jestem duchem!...

W powietrzu słyhać szum gwiazdy, co spada...  
 Morze się łamie do dna z nawałnicą...  
 W przepaść się rzuca dysząca kaskada,  
     Srebrną mgławicą...  
 Anioły białe, w noc wieczną stracone,  
 Gubią znad czoła promienną koronę...  
 Całej ludzkości pragnienia i winy  
 Wrą naokoło straszliwym wybuchem...  
 Ach! weź mnie z sobą i unieś w błękity!...  
     Jakże mi smutno, że nie jestem duchem!

\* \* \*

Pójdź! na twych piersiach utul moje skronie  
 I mów mi słowa anielskie, najcichsze...  
 Cóż nam do ziemi!... niech wre i niech płonie  
     W żądz skwarnym wicherze!  
 Ja — niech tak z tobą na zawsze zostanie,  
 I niech nad nami gwiazdy zadumane  
 Mgliste zasłony rozpóstrą w milczeniu,  
 Nieskończoności unosząc nas ruchem...  
 Pójdź!... czemu bledniesz i drżysz, mój promieniu?...  
 Ach! jak mi smutno, że nie jestem duchem!

\* \* \*

O ziemi! praw swych mścicielko! o ziemi,  
 Która na duchach kładziesz swoje piętno,  
 I szorstką dłonią budzisz tych, co drzemią  
 W noc cichą i beznamiętną...  
 I do ust, choćby je najświętsze słowo  
 Zwarło pieczęcią swoją rubinową,  
 Podajesz czarę ognia i płomieni,  
 I sen odpędzasz jakimś wrzeniem głuchem...  
 O ziemi! puść mnie do światła z twych cieni!...  
 Ach! jak mi smutno, że nie jestem duchem!

*Łódź, dnia 12.12.1917*  
*Kazimierz Władysław Galiński*  
*Województwo Łódzkie*  
*Podpis*



WŁASNOŚĆ  
POLSKIEJ MACIERZY

SZKOLNEJ.

Nr

1695

Koło Kieleckie



## OBRAZKI.

### I.

Co pocznie?

Wśród nocy — własne oczy jej świeciły  
Zgrozy pochodnią...  
Biegła, bo ustać nie miałaby siły  
Pod swoją zbrodnią...  
Od wichru myśli na głowie jej wstały  
Zburzone włosy...  
Biegła — jak gdyby poświsty ją gnały,  
Lub różeg ciosy.  
Bose jej stopy ślad wgniotły leciuchny,  
W śnieg srebrny, świeży,  
Aż tam, gdzie śpiący synek jej bieluchny  
Pod murem leży...  
Gdzież biegnie? — pójdzież zapytać się rosy,  
Czy go wyżywi?

- Czy też rwać pocznie stargane swe włosy,  
 Jak nieszczęśliwi!  
 Czy pójdzie nocy tej błagać, by cieniem  
 Czoło jej skryła?  
 Żeby jej ziemia rzuconym kamieniem  
 Nie znieważyła?  
 Czy, pójdzie w lasy bić głową o sosny,  
 Gdzie pustka głucha?  
 Czy stanie nagle — i w głosek żałosny,  
 Drząc, się zasłucha?  
 Czy pójdzie w góry, co stopy jej krwawić  
 Zębami poczną?  
 Czy wróci blada, by dziecię swe zbawić  
 Przed dolą mroczną?  
 Czy jak zdeptane stokrocie na łące,  
 Ugnie swe czoło?  
 Czy wbije oczy, jak noże płonące,  
 W ciżbę wesolą?  
 Czy krzykiem pójdzie rozbudzić potęgę,  
 Co drzemią senne?  
 Czy w twarz, z policzkiem, odrzuci przysięgi  
 Zdrady płomienne?  
 Czy stanie tutaj, pod niebios pręgierzem,  
 W błyskawic wstydzie?  
 Czy pójdzie los swój podzielić ze zwierzem,  
 I żyć w ohydzie?  
 Czy, załamawszy ręce, jak Niobe  
 Tu skamienieje,



I stać tak będzie, aż wieku chorobę  
 Wyleczą dzieje?  
 Czy, jak drzewina, gdy robak ją stoczy,  
 Padnie wśród drogi,  
 Aż w prochu zdepcą blask płowych warkoczy  
 Przechodniów nogi?  
 Czy prawodawcom ukaże się we śnie,  
 Jak widmo drżące,  
 I zbudzi sennych, wołając boleśnie:  
 »Jest nas tysiące!«  
 Czy pod mur wróci — i porwie na ręce  
 Swego chłopczyka?  
 Czy zacznie szarpać to ciałko dziecięce,  
 Jak lwica dzika?  
 Czy pójdzie prosić jasnego miesiąca  
 O srebrny rąbek,  
 By cieplej miała dziecinka jej drżąca,  
 Biały gołąbek?  
 Czy pójdzie prosić gwiazd, żeby go strzegły,  
 Bo matki niema?  
 Czy zaklnie cienie, by za nią nie biegły,  
 Jak anathema?  
 Czy poda piersi raz jeszcze przed świtem  
 Dziecku u łona?  
 Czy krzyk natury zagłuszy swym zgrzytem,  
 Padnie i skona?...

O myślicielu! co pocznie ta matka?

To drobne dziecię?...

Milczysz! — jak ciemną jest życia zagadka!

Ileż łez w świecie!...

## II.

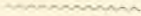
### Sobotni wieczór.

Od zgrzytającej zębami maszyny  
Powstał znużony, z osłupiałem okiem,  
W którym się palił płomyk jakiś siny,  
I przeszedł izbę w milczeniu głębokiem.  
O czym miał mówić? — myśl jego, wtłoczona  
Pomiędzy koła, i szruby, i piły,  
Była tak ciężką, jak jego ramiona,  
Co się bezwładnie wzdłuż ciała zwiesiły...  
O czym miał mówić? wszak świata obroty,  
Jego pragnienia, i walki i ruchy,  
Nie dobiegają tam, gdzie ciężkie młoty  
Grzmiąc przez dzień cały, ogłuszają duchy.  
Jak senny przeszedł przez puste warsztaty  
Z głową zwieszoną, obliczem wygasłym,  
Aż tam, gdzie kasy okienko z za kraty  
Migało wypląt tygodniowych hasłem.  
Wokoło gwarnym cisnęli się tłumem

Dnia najemnicy, z zamgloną źrenicą;  
A zmrok zapadał z głuchym jakimś szumem  
Ponad tych istnień smutną tajemnicą...  
Zapłatę swoją wziął w ciżbie ostatni,  
I wyszedł, czoło ocierając z potu.  
Po dniu spędzonym wśród maszyn łoskotu  
Chciałby usłyszeć głos ludzki, głos bratni,  
Myśl z odrętwienia rozbudzić w gawędzie,  
Uścisnąć rękę przyjaźni życzliwą,  
Poczuć w swym bycie nie martwe narzędzie,  
Lecz jakieś żywe ludzkości ogniwo...  
Stanął w ulicy: na rogu jaskrawy  
Napis obwieszczał, że tutaj dostanie  
Głośnej muzyki i hucznej zabawy,  
I zapomnienia o każdej swej ranie...  
U wejścia para buchnęła gorąca,  
Tłum robotników cisnął się nawałem,  
A błędny obłok skrzydłem swoim białem  
Chwytał przebłyski gasnącego słońca...  
Cofnął się młody wyrobnik zprzed progu;  
Ten zmierzch wieczorny, przejrzysty, różowy,  
Jakieś mu dumki nawiewał do głowy  
O wiośnie, ciszy, przyrodzie i Bogu,  
Jakieś pytania o życiu, o świecie,  
Zmąconą falą o duszę mu biły...  
On czuł się cząstką i ruchu, i siły,  
Lecz nieświadomą i bierną, jak dziecię...

Powiew żywszego, szerszego już prądu  
 Pchnął myśli jego na głębię od brzegu...  
 Lecz brakło steru, i w błędnym tym biegu,  
 Nie umiał dostrzedz przystani i ładu.  
 Czuł, że są wyższe i czystsze uciechy  
 Nad wrzask pijanej ciżby i muzyki,  
 Nad wyuzdaną swawolę i śmiechy,  
 Nad brzęk kieliszków, i klątwy, i krzyki...  
 Lecz gdzie je znaleźć? Ach, gdyby w tym tłumie  
 Usłyszał jakieś dobre, mądre słowo,  
 Rzeźwiące rosą myśl jego jałową,  
 Jakżeby słuchał w poważnej zadumie!  
 Jakżeby chętnie podzielił się biciem  
 Serca, stwardniałej dłoni swej uściskiem...  
 Jakżeby chętnie żył, choć chwilę, życiem  
 Wiedzy, i światła, i prac ducha blizkiem...  
 Stał tak niepewny, a wrzawa kipiała.  
 Przed nim szli ludzie; myślące oblicza  
 Siła sympaty jakiejś tajemnicza  
 Nieraz ku niemu przyjaźnie zwracała...  
 Z przechodniów owych niejeden zapewne  
 Kochał lud, myślał o jego oświacie,  
 I miał dla niego to uczucie rzewne,  
 Które obcemu nawet mówi: »bracie«...  
 Lecz gdzież są drogi, na którychby duchy  
 Dwóch sfer odmiennych schodziły się społem?  
 Czyliż zwyczajem, jak więzów łańcuchy,  
 Każdej z nich ciasnem nie zamknęły kołem!

Przedmiotem czyjej troski i narady  
Jest znikczemnienie w zwierzęcym spoczynku?  
Czyliż więc dziwno, że wyrobnik błady  
Postać, podumał, i poszedł — do szynku.



### III.

#### Wolny najmita.

Wązką ścieżyną, co wije się wstęgą  
Między półkami jęczmienia i żyta,  
Szedł blady, nędzną odziany siermięgą,  
Wolny najmita.

I nigdy wyraz nie był dalszym treści,  
Jak w zestawieniu takim urągliwem;  
Nigdy nie było tak głuchej boleści  
W jestestwie żywem.

Rok ten był ciężki: ulewa smagała  
Srebrnym swym biczem wiosenne zasiewy,  
I ziemia we łzach zaledwo wydała  
Słomę a plewy.

Z chaty, za którą zaległy podatki,  
Wygnyany nędzarz nie żegnał nikogo...  
Tylko garść ziemi zawiązał do szmatki  
I poszedł drogą.

W powietrzu ciche zawisły błękity,  
Echo fujarki z pod lasu wschód wita...

Stanął i otarł łzę połą swej świty

Wolny najmita.

Wolny, bo z więzów, jakimi go przykuł  
Rodzinny zagon, gdzie pot ronił krwawy,  
Już go rozwiązał bezduszny artykuł

Twardej ustawy.

Wolny, bo nie miał dać już dzisiaj komu  
Świeżego siana pokosu u żłoba;

Wolny, bo rzucić mógł dach swego domu,

Gdy się podoba...

Wolny, bo nic mu nie ciąży na świecie, —

Kosa ta chyba, co zwisa z ramienia,

I nędzny łachman sukmany na grzbiecie,

I ból istnienia.

Wolny, bo jego ostatni sierota,

Co z głodu opuchł na wiosnę, nie żyje...

Pies nawet stary pozostał u płota

I zcicha wyje.

Wolny! — wszak może iść, albo spoczywać,

Albo kłać z zgrzytem tłumionej rozpaczy;

Może oszaleć, i płakać, i śpiewać, —

Bóg mu przebaczy.

Może zastygnąć, jak szrony, od chłodu,

Bić głową w ziemię, jak czynią szaleni...

Od wschodu słońca, do słońca zachodu

Nic się nie zmieni.

Ubogi zagon u nędznej twej chatki,

I mokrą łączkę, i mszary, i wrzosa,



Obsadzi urząd... podatki! podatki!

Ty idź do kosy!

Idź, idź! opłatę do kasy wnieść trzeba,  
Choć jedno ziarno wydadzą trzy kłosa,  
I choć nie zaznasz przez rok cały chleba...

Idź, idź do kosy!

Czegoż on stoi? wszak wolny, jak ptacy?  
Chce — niechaj żyje, a chce — niech umiera;  
Czy się utopi, czy chwyci się pracy, ..

Nikt się nie spiera.

I choćby garścią rwał włosy na głowie,  
Nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta...  
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie...

Wolny najmita!

## IV.

### Przed sądem.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnemi,  
W których łyzy wielkie i srebrne wzbierały  
I gasły w rzesach spuszczonej ku ziemi:  
Blady, jak nędza, a tak jeszcze mały,  
Że mógł rozplakać się, i wołać: »matko!«  
Gdyby miał matkę; i mógł stroić psoty,  
I pocałunków żądać, i pieśczoć,  
I spać na piersiach ojca; a tak drżący,  
Jak ptak wyjęty z gniazda, i już mrący,  
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

\* \* \*

A dziwna była ta sala sądowa:  
Wielka, i pusta, i ciemna, i chłodna,  
I bezlitosna, i łez ludzkich głodna,  
I nigdy dla nich niemająca słowa  
Miłości bratniej, i taka surowa,  
Tak spiskująca ławkami w półkole

Na ludzką nędzę i ludzką niedolę, —  
 Że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu,  
 Zdawał się cierpieć i drżeć na swym krzyżu.

\* \* \*

Przy winowajcy nie było nikogo...  
 I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?  
 Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy  
 Leciały jakąś pełną iskier drogą;  
 Chyba dzieciństwo, nędz pełne, sieroty,  
 I chyba tylko promyczek ten złoty,  
 Co mu przez okno upadał na głowę,  
 Jakby Bóg gładził włosy jego płowe.

\* \* \*

Wszedł sędzia, spojrział i rzekł: »gdzie rodzice?«  
 »Nieznani« — odrzekł pan pisarz z powagą.  
 Chłopiec wzniósł zgasłe, błękitne źrenice,  
 I ściągnął świtkę na pierś swoją naga,  
 Jak gdyby nagle, od jednego słowa,  
 Zjęło go zimno i pustka grobowa...  
 Sędzia zadumał się, pochylił czoła  
 I spytał znowu; »czy w wiosce jest szkoła?  
 — »Nie«. — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie,  
 Przytem — pytanie było jakoś dziwne...  
 Wahał się chwilę, czy właściwem będzie  
 Odpowiedź chłopca pisać w protokóle;

Więc wyprostował palce swoje sztywne  
I bębnił zlekka po szarej bibule.

\*

A sędzia patrzył na drżącą dziecinę:  
Na ręce nagie, wychudłe i sine;  
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany;  
Na blask tych oczu zmacony i szklany,  
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy;  
Na drobną główkę, gdzie myśl głucho śpiąca  
Nie znała świata innego, prócz słońca,  
I innych wrażeń ożywczych, prócz rosy.

\*   \*   \*

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze,  
I w piersi uczuł drżenie tajemnicze,  
Jakby ta sala pusta była tronem,  
Na którym przyszłość z czołem zachmurzonym  
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...  
I jakimś grzmiącym i ogromnym słowem  
Oblicza plony na polu jałowem,  
Przed sąd wzywając całe pokolenia...  
I widział jak szły gęste, ciemne tłumy  
I tamowały ruch globu w błękicie...  
I spostrzegł, pełny trwogi i zadumy,  
Że były chmurą ogromną o świetle,  
Przez którą przebić nie mogło się słońce,  
I zmierzch nad ziemią trwał przez lat tysiące...

Widział, że tłum ten — to siła, stracona  
 Dla wielkich celów i dążeń ludzkości,  
 I czytał w groźnym spojrzeniu przyszłości,  
 Że chce rachunku z miliona...

I ujrzał nagle, że wydziedziczeni  
 Za społeczeństwa swego cierpią winy;  
 I przerażony — posłyszał w przestrzeni  
 Sądy — nad sprawą chłopczyny...

\* \* \*

»Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi,  
 Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,  
 Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi?  
 Czy wy, co grube spisujecie tomy  
 Karnej ustawy, a nie dbacie o to,  
 By uczyć dziecię, które jest sierotą...  
 Niechże was Chrystus sądzi!«

Lecz krzyż czarny

Stał nieruchomy i cichy na stole,  
 Jako milczące wobec lez ołtarze...  
 A sędzia powstał, i szedł, gdzie pachole  
 Blade czekało na wyrok surowy,  
 I dotknął ręką jego płowej głowy,  
 I rzekł: »Pójdź dziecię! ja cię uczyć każe!«

## Z wiejskiej szkółki.

Wiosenny powiew, co kwiatów na łące  
Zbudził kielichy,  
Usta jej zimne, pobladłe, milczące,  
Całował cichy.  
Leciuchnem drzeniem przejmował zasłony  
Czarnej sukienki,  
I pęk róż dzikich, i wianek zielony  
W głowach trumienki...  
Cicho szeleszcząc przez powój i rąbki  
Białych firanek,  
Nienakarmione wypłaszał gołąbki  
Na pusty ganek...  
Otwartem oknem jaskółka wleciała  
Z pieśnią majową,  
I czarnem skrzydłem mignęła, jak strzała,  
Nad martwą głową.  
Gromnica błyski zimne, jak lzy cudze,  
Rzuciała drżąca,

Ruchomą plamą czerwieniąc na smudze  
Złotego słońca.

Nikt się nie modlił, nikt we łzach nie klęczał  
Przy tej trumience;

Nikt się z tą bladą nie żegnał, nie jęczał,  
Złamawszy ręce...

I tylko Chrystus wyciągał ramiona  
Z krzyża boleśnie,

I tylko pliszka z gałązki spłoszona,  
Nuciła pieśnię.

\* \* \*

Nagle z kościółka rozgrzmiały się dzwony,  
Przeciągłe, łzawe,

A las zaszumił w chór sosen zielony  
Śmiertelne »ave«.

Na łąki idąc, ze świtem i rosą,  
Wiejska gromada

Stanęła w progu, ten z sierpem, ów z kosą —  
Jako wypada.

Pod przyzbą stoi, oparta pod brodę,  
Znachorka siwa,

Wróżąc sąsiadkom na lny ich pogodę,  
A deszcz na żniwa...

Młode wieśniaczki z oczyma suchemi  
Wzdychają głośno,

A dziad zawodzi, zasiadłszy na ziemi,  
Pieśnią żalną.

Wtem śmiech wybuchnął kaskadą wesołą:  
 To dziatwa wioski,  
 Co się zebrała przed pustą dziś szkołą,  
 Gwarząc bez troski...  
 Śmierć z swym spokojem ustąpić musiała  
 Przed życia ruchem.  
 I tak zasnęła ta cicha i biała  
 Wśród obcych duchem.

\* \* \*

O lesie ciemny! o smutne wy dzwony!  
 Kogo żegnacie?  
 Gdzie jest jej matka? gdzie ojciec rodzony?  
 Gdzie bracia w chacie?  
 — Rodzona matka — to ziemia, co płowy  
 Plon żyta dała...  
 — Ojciec rodzony, to lud ten wioskowy...  
 Tak go kochała!  
 — Rodzone siostry i bracia rodzeni,  
 To wiejskie dziatki,  
 Te, które wiodła do światła od cieni,  
 Z uczuciem matki.  
 Młoda żniwiarka na wspólnych prac niwie  
 Stała śmiało,  
 I snop swój ciężki wiązała cierpliwie,  
 Przez dobę całą.  
 Choć nikt zachęty nie ozwał się słowem,  
 Nie dał pomocy,



Trwała tak, stojąc na polu jałowem  
Z świtu do nocy.

I tylko czasem, poblądła, znużona,  
Z mokrą powieką,

Wznosiła swoje mdlejące ramiona  
W przestrzeń daleką;

I tylko czasem szepnęła: »Jak ciemno!  
Kiedyż zadnieje?«

Walcząc z śmiertelną niemocą daremno,  
Tracąc nadzieję.

Ach! ona była, jak tęcza, co ziemię  
Jednoczy z niebem...

Była skowronkiem dla wioski, co drzemie,  
Dla ducha — chlebem...

I była rosą, co rzeźwi o świetle  
Zioła mdlejące...

Była gwiazdeczką, co czuwa w błękicie,  
Nim wszędzie słońce.

\*

\*

Dziś stara cieśla w trumienkę sosnową  
Zabija ćwieki,

I krzyż zakreśla w powietrzu nad głową  
W odjazd daleki...

Ubogi wózek zaskrzypiał na piasku  
Samotną drogą,

Przed nim mgła srebrna, a za nim snop blasku, —  
Więcej nikogo.

Tylko sierotka żegnała go mała  
Smutnem wejrzeniem,  
Tylko się róża w ogródku rozwiała  
Ostatniem tchnieniem...  
Tylko jaskółki za trumną leciały,  
Szczebiocąc długo...  
I tylko tuman wstał cichy i biały,  
Nad modrą strugą.

## VI.

### Bez dachu.

Noc się podniosła, cała w mgłach i bieli  
I srebrnem tchnieniem owiała stolicę,  
I brylantowych iskier błyskawice

Roztliła w śniegów pościeli.

Kto miał ognisko własne i ramiona,  
Co go czekały, jak pieszczot ponęta,  
Mówił do nocy tej: »Błogosławiona!«

Kto nie miał, mówił: »Przeklęta!«

A takich głosów było, ach! tysiące...  
A wszystkie z zimna i zwątpienia drżące,  
A wszystkie dziwnie przeraźliwe w ciszy...

O gwiazdy! czy Bóg je słyszy?

Patrzycie blade, i ja patrzę blada,  
Wicher się zrywa, śnieg zawiewa drogę...  
O gwiazdy! jeśli która odpowiada,

Ja was dosłyszeć nie mogę!...

O nocy srebrna! o nocy, królowo!  
 Ty masz żelazne dla nędzarzy berło...  
 A mglistą szronów zaslonę nad głową

Spinasz zastygłych łez perłą.

O nocy! czyliż gwiazd twych jasnych z nieba  
 Pragnie ta ciżba, wybladła i skrzepła?

Przez litość, słuchaj! wszak oni chcą chleba —

I tylko troszeczkę ciepła!

Ach! gdybym była tobą, o królowo!

Największy brylant, co w lazurach świeci,  
 Dałabym nędznym w tę zamieć śniegową

Na chleb i ogień dla dzieci...

I wiem, że niebo nie byłoby bledsze,

Gdyby za jedną tę gwiazdę w błękiecie,

Jasne źrenice, gdzie znów wskrzesło życie,

Świeciły łzami w powietrze...

O nocy! idziesz cicha, lodowata,

Nad czołem twojem skrzy śniegów korona;

A twoja srebrna, ciężka, długa szata,

Całunem jest — dla miliona!

\* \* \*

Przed bramą, w której płonęły latarnie,

Stał chłopczyna w tę mroźną zawieję...

Biedny! on myślał, że mur go przygarnie

Że go ten kamień ogrzeje...

Lecz stróż drzwi zamknął na rygle... i naraz

Łzy się dziecięce, jak perły, rozsnuły...

— »Gotów tu zmarznąć, a potem ambaras  
 Dla wszystkich... śledztwo... cyrkuly!  
 Chłopczyna odszedł, płacząc. — Tam, w oddali,  
 Widać świątyni granitowe mury...  
 A ponad niemi mgła białych opali,  
     A wyżej — lodowe chmury  
 I krzyż. Sierota uklęknął przed progiem;  
 W powietrzu, szronów latały dyamenty...  
 Chciał wejść, lecz kościół szczelnie był zamknięty,  
     Razem z litością — i z Bogiem.  
 Ach! gdyby Chrystus tu przebywał z nami,  
 Wiem, żeby chodził ciemnymi nocami  
 I zbierał głodnych, zziębniętych nędzarzy  
     I tulił u swych ołtarzy.

\*  
\*  
\*

Skostniałe dziecię szklanemi oczyma  
 Patrzyło w niebo, gdzie mleczna lśni droga;  
 Chciało się skarżyć, lecz matki już nie ma,  
     Mówiło zatem do Boga:  
 — »Ojcie nasz«... Jakto, o synu królewski!  
 Ojca twojego narody zwą Bogiem,  
 A ty, wpatrzony w ten pałac niebieski,  
     Konasz, bez dachu, za progiem?  
 »Ojcie nasz« mówisz... a czyim ty bratem?  
 Czy tych, co w zbytku umarłą tkwią duszą,  
 I głośnym, pełnych puhałów wiwatem  
     Gasnące jęki twe głuszają?

»Ojcie nasz!...« Boże! czy słyszysz to dziecię,  
Co usta z nędzy zbiele otwiera?  
Ach! ono wierzy, żeś ojcem mu przecie,  
I z wiarą taką — umiera!

Dziecię mówiło pacierz... mgła srebrzysta  
Z tchnieniem ust jego lekko się rozwiała,  
Zrazu gorętsza i błękitno biała,

Później — dziwnie przeźroczyta,  
Wreszcie zanikła... w pół otwarte wargi  
Przystały szeptać modlitwy i skargi...  
Wobec ciemnego, milczącego gmachu,  
Dziecię skonało — bez dachu.

## Czy marzą?

Czy marzą kiedy te czoła schylone,  
Które dźwigają cierniową koronę  
Codziennej troski, nad zbladłą w łzach twarzą...

Czy one marzą?

Czy w tych źrenicach zamglonych rozbłyska  
Niekiedy iskra wielkiego ogniska,  
Przy którym duchy od wieków się grzeją

Wspólną nadzieją?

Czy te ramiona od taczek swej biedy  
W chwilach tęsknoty podnoszą się kiedy  
Tam, gdzie ludzkości całej ideały

Tron mają biały?

Bładzi nędzarze przy cudzym warsztacie,  
Co zasypiają pod snów ciężką strażą,  
I ci, co wloką dnie w zapadłej chacie, —

Czy oni marzą?

Czy słyszą kiedy wśród samotnych godzin  
Głuchy szum wieków idących z kolei,  
I ciche szmery tajemnych narodzin

Wielkich idei.

Czy w odrętwieniu swoim lodowatym  
Czują ten płomień braterskiej miłości,  
Co łączy duchy nad nędzą i światem,  
W imię przyszłości?

Czy ci schyleni tak blisko do ziemi  
Naglą jej pochód tętnami własnymi?  
I czy się czuje myśl wydziedziczona  
Cząstką miliona?

Duchy znużone i duchy mdlejące  
Czy wierzą, że się te zmroki przeważą?  
Czy przeczuwają jaśniejszych dni słońce?  
Czy one marzą?

Jeśli nie — szerzej rozniećmy ognisko!  
Niech spotężnieje i światło i ciepło;  
Uściskiem bratnim przyciągnijmy blisko  
Pierś ludu skrzepłą.

Jeśli nie — wyżej podnieśmy sztandary!  
Niech nędzarz dojrzy walczących z ciemnotą  
I niech dosłyszcy okrzyk, pełny wiary  
W jutrzenkę złotą!



Przed odlotem.

Z jaskółką czarną rzucam gniazdko moje,  
Wioskę zieloną...  
Przede mną lecą jakieś niepokoje  
Chmurką spłoszoną...  
Słońce mi w drogę daje złotą smugę,  
Gdzie ścieżka płowa,  
A łąka za mną szle błękitną strugę,  
Szepecząc: »bądź zdrowa!«  
Porzucam wszystko, idę w świat daleki!  
Tylkobym rada  
Wziąć z sobą szumy srebrzyste tej rzeki,  
Co hucząc spada...  
Przejrzysty lazur szerokiej przestrzeni,  
I oddech wolny,  
I chłód ożywczy świeżych leśnych cieni,  
I kwiat ten polny...  
Tylkobym chciała tej brzozy płaczącej  
Wziąć z sobą smutki,  
I parów we mgłach wilgotnych dyszący,  
I niezabudki...

Wieczorną gwiazdę, co w ciszy błękitu  
Pała mileżąca...  
I srebrne hasła, i błyski przedświtu  
O wschodzie słońca.  
Tylkobym w kielich z białego powoju  
Rosy wziąć rada,  
I znane szepty lubego mi zdroju,  
Co przez sen gada...  
Echo fujarki, chrzęst kosy na łące,  
Piosnkę żniwiarzy...  
I słówko bratnie, serdeczne, gorące:  
»Niechaj Bóg darzy!«

Bądź silnym.

Bądź silnym, bracie! skrzydłami orlemi  
Bij chmury, co ci grożą nawałnicą...  
Nas dnie tak smutne, tak ciężkie zrodziły,  
Że wielkiej ducha potrzeba jest siły,  
By nie zagasnąć krwawą błyskawicą  
U jakiejś wczesnej, samotnej mogiły,  
Lecz żyć na pełnej lez ziemi.

\* \* \*

Bądź silnym! niech twe młodzieńcze ramiona  
Podźwigną brzemie, uniesień twych godne...  
Niech miłość bratnia pierś twoją rozszerzy...  
Póki w ciemnocie choć jeden duch kona,  
Póki choć jedno serce, prawdy głodne,  
Nie wie, do czego przykuć swe pragnienia;  
Nie wolno spocząc żadnemu z szermierzy  
W ciszy własnego istnienia.

Bądź silnym! życie swą wagą przygniata  
 Tych, co bez steru świadomej zasady,  
 Wśród zdarzeń, zjawisk i sprzeczności świata,  
 Błądzą, wypadków uniesieni ruchem,  
 Własnym swym czynom nieobecni duchem,  
     Jako lunatyk ów blady...

Ziemia się na nich nie wesprze, zaiste!  
 A ludzkość nigdy w pochodzie nie liczy  
 Tych, co przed walką cofnąwszy się — giną.  
 I poza duchów wytrwałych dziedziną  
 Tak znikną, jako ów cień tajemniczy,  
     Gdy wschodzi słońce przeczyste.

Garstka szlachetnych, co przyszłość zdobywa,  
 Jest jako luźne, słoneczne ogniwa,  
 Które się w całość połączyć nie mogą...  
 I brak im może właśnie twego ducha,  
 By zamknąć kręgi wielkiego łańcucha,  
     Co glob opaszą i nową pełną drogą.

Bądź silnym bracie!... ach, jabyś pierś twoją  
 Pragnęła zakuć dyamentową zbroją,  
 Przed ziemskiej żądzы palącym oddechem,  
 Co cię porywa w pełną wichrów drogę,  
 Przed zatrutemi zwątpienia strzałami,

Co biją w ciebie, jako błyskawice...  
Lecz jestem sama słabą, i nie mogę  
Być tarczą twoją, choć stoję przy tobie  
Z rozpostartemi, jak siostra, rękami,  
I patrzę w twoje gasnące źrenice,  
I na twe usta, co bluźnią uśmiechem  
Tajemnej ducha twojego żalobie,  
Jak bluźni róża czarnej sierot szacie;  
I próżno cię chcę obronić łzami  
Przed skwarem życia, co pierś twą wysusza;  
I próżno patrząc, jak kona twa dusza,  
    Wołam: bądź silnym, o bracie!...

Bądź silnym! ziemia pod stopą się chwieje...  
Stać trzeba z męskim wytrwaniem wśród burzy...  
Ten, kto nieść będzie pochodnię nadziei,  
I zatknie sztandar zwycięstwa na szczytach,  
Kto ducha swego odciśnie z lwią siłą  
Na wieku swoim, — ten, komu ta cała  
Ziemia jest jakby niezastyglą bryłą,  
Co jego piętna czekała, —  
Ten tylko imię »człowieka« wysłuży  
    W nieśmiertelności błękitach!

## Głód.

Nie w purpurze jak pożary,  
Co zdobywcą idą klęską,  
W rozpuszczonych na wiatr szatach,  
W dymów stalowej przyłbicy,  
I ogniste swe sztandary,  
Całe w róż płomiennych kwiatach,  
Pod obłoki górą niosą, —  
Co siadają jak motyle  
Gorejące na wieżycy,  
I w dzwon biją pieśń zwycięską,  
I jednoczą w dzikiej sile  
Coś z rumaka stepowego,  
Gdy się zerwie z uździenicy,  
I coś z nagłej błyskawicy,  
Gdy z gromowej padnie chmury...  
Nie w żelazie jako wojna,  
Co z odkrytą piersią męską,  
W łunach cała, w ręku z kosą,  
Bohaterska i dostojna,  
Grzmi pobudką na armatach

W takty serca młodzieńczego;  
Orłem płomiennym się zrywa,  
Jak przeczenie praw natury,  
I jak meteor przelata  
Ponad okręgami świata,  
I okropność nawet swoją  
Szeleszczącą sławy zbroją,  
I błyskami swej purpury  
Przed oczyma nam zakrywa...  
Nie jak mór, w bólach wybladły,  
Co tragicznym swym oddechem  
Zieje, nie patrząc na kogo,  
I straszliwie prostą drogą  
Z beznamietnym mknie pośpiechem,  
Śmiertelnemi prześcieradły  
Owijając nam stolice;  
Co skrzydłami nietoperza  
W marmurowy gmach uderza,  
Rozsypując go w kostnice;  
Co za sobą żgła swe wlecze,  
I mogilnym tchnie powiewem,  
Depcąc nagie drżące serca;  
Co napada, jak morderca,  
I obraca w piersiach miecze  
Pełne jadu, pełne trądu;  
I goreje jak pochodnia,  
Zażegnietta bożym gniewem;  
I za pierś chwyta przechodnia,

Bez wyroku, i bez sądu...  
 Ale nędzny, szpetny, siny,  
 Owinięty w mgieł łachmany,  
 Chyłkiem pełząc poprzez pole  
 Najuboższej gdzieś krainy,  
 Kędy bladzi wyrobnicy  
 Noszą, od dnia urodzenia,  
 Aż do ostatniego tchnienia,  
 Kainowy znak: »niedola«, —  
 Zdawna już przepowiadany  
 Przeczuć ludu smętnem echem,  
 Łez strumieniem długich deszczy,  
 Gradem, co jak prorok wieszczy  
 Srebrne klątwy ciska z nieba,  
 Głuchym gromem nawałnicy,  
 I pochodem zbrojnym wód,  
 Głosem matek przeklinany,  
 Własnym trawiąc się oddechem,  
 Idzie bez kawałka chleba —  
 Głód!

Wygaszoną z łez źrenicą  
 Blask słońca naigrawa  
 I odsłania swą prawicą  
 Wszystkie nędze, wszystkie rany,  
 I szept pokus rzuca w ciszę...  
 I oskarża ziemię całą,  
 Że dla żywych jest za małą,



I przedstawia nam naturę,  
Jak mściwego ludom wroga,  
Co wypełnia krwawe prawa  
Bez litości, i bez Boga,  
I dowody swe ponure  
Tysiącami grobów pisze...  
Błędy, zbrodnie i wybuchy,  
Straty żywych sił narodu,  
Cofające ludzkość ruchy,  
Noszą czarny napis: »z głodu!«  
Myśl się przed nim cofa drżąca...  
Oto idzie rozłakniony,  
Depcząc pola i zagony  
Pod oczyma gwiazd i słońca...  
Gdyby jego mdłe wnętrzości  
Płodne były, bez litości  
Szarpałby swój własny plód...  
Już wyciąga dłoń swą siną...  
Biada! biada ci kraino!  
Głód!

## Przeszłość i przyszłość.

Przeszłość, wielka pra-mogila,  
W której leżą ojców kości,  
Zapasowa ruchu siła,  
Utajony dech ludzkości;  
Skarbiec święty, skarbiec stary,  
Kędy wieki porzuciły  
Zbroje swoje i sztandary,  
Hasła, barwy, ideały;  
Przeszłość, wielkie ludów zbrodnie,  
Bohaterów wielkie czyny,  
Zażegnęte walk pochodnie,  
Uśchłe wieńce i wawrzyny,  
Karty, ryte krwią i mordem,  
Rozszarpane burz zawieją,  
Skry skrzęsane starym kordem,  
Co nam dotąd dusze grzeją;  
Przeszłość, czarny kir żałoby,  
Nieśmiertelne hymny chwały,  
Cisza, która strzeże groby,  
Jak archanioł śmierci biały;

Gorejące wspomnień znicze,  
 Echo zwycięstw i rozpaczy,  
 Talizmany tajemnicze  
 Na wąpiącą pierś tułaczy...  
 Przeszłość, pieśń, od której jeszcze  
 Dziś chwytają ludy dreszcze,  
 Pieśń ta, którą ideały  
 Nad kołyską im śpiewały;  
 Przeszłość, oltarz i świątnica;  
 Przeszłość, pręgierz, kaźń, niesława;  
 Przeszłość, życia tajemnica,  
 Co z popiołów zmartwychwstawa...  
 Oto budzi się i dyszy,  
 Obejmuje świat w ramiona  
 I krzywd dawnych mści się w ciszy,  
 Aż zostanie odkupiona.  
 Przeszłość, dramat, w którym dzieje  
 Wywołują mar gromady...  
 Tłum się trwoży, wzrusza, śmieje,  
 Lecz myśliciel patrzy blady.

Przyszłość, jutrznia zróżowiona,  
 Świt błękitny, świt daleki,  
 Do którego wszystkie wieki  
 Wyciągają swe ramiona;  
 Czyn zwinięty, jak w zawiązku,  
 W tajemniczym myśli kwiecie;

Prąd, co ruchy budzi w świecie,  
Wznosząc sztandar obowiązku;  
Sny narodów, ludów hasła,  
Zapał walki, klęsk pociecha,  
Wiara ziemi niewygasta,  
Co z błękitów się uśmiecha;  
Zagon żyzny, zlany potem  
Tych szlachetnych, co go orzą,  
Zasiewany ziarnem złotem —  
Prawdą jasną, prawdą bożą;  
Nieugięta, niecofniona,  
Nieodmienna, idzie, cicha;  
Szermierz, walcząc o nią, kona,  
Ale ludzkość nią oddycha.

I cóż łączy te dwa światy,  
Jak ogniwa dwa łańcucha? —  
Teraźniejszość, ptak skrzydlaty,  
Myśl, czyn, słowo, technienie ducha.

## Odpowiedź.

O! nie, poeto! *dziś* nie jest bladem  
Widmem, stojącym wśród zmierzchów bez końca;  
Ono wre życiem i nosi dyadem  
Z łez ludów i z błysków słońca.

I nie jest żadną luźną chwilą w dziejach:  
Przeszłość je w bólach duchowych zrodziła,  
A w wielkich, jasnych przyszłości nadziejach  
Tkwi jego młodzieńcza siła.

Oto je widzę: potężne w porywach,  
Naprzód podane, stanowczy krok waży...  
Nie wiem, czy starych odbiegnie ołtarzy,  
Nie wiem, gdzie nowa zawiedzie je droga,  
Lecz wiem, że w wiecznych następstwa ogniach  
Przerwy nie będzie... że ludzkość nie stanie,  
Na żadne klątwy i żadne wołanie,  
Aż znajdzie prawdę — i Boga.

O! nie, poeto, krew nasza nie skrzepla,  
Pierś nie zastygła w westchnieniu ostatniem...

My — przy ognisku i światła, i ciepła,  
     Sercem dzielimy się bratniem.  
 Jeśli myśliciel nie marzy o niebie,  
 Patrząc beczynninie w błękitne sklepienie;  
 Goręcej za to, i już nie dla siebie,  
     Zdobywa wielkie zbawienie.  
 Zapal ludzkości pod równą wre miarą,  
 Lecz różne jego są ujścia dziejowe:  
 Niegdyś miał imię: »wyprawy krzyżowe«  
     Był hymnem ludów i wiarą.  
 Dziś — to duch badań, który myśliciela  
 Czyni potężnym zwycięzcą przyrody,  
 I wielkie prawdy zdobywa i wciela  
     W idące naprzód narody.

\*       \*       \*

O! nie, poeto! młodość nie druzgota  
 Bóstw białych w wielkiej świątyni ludzkości,  
 A jej modlitwą jest święta tęsknota,  
     Co duchy prze ku przyszłości.  
 W weselnej szacie jak niegdyś, za Greków,  
 Amforę życia wychyla radosną,  
 Jest zawsze ziemi poezją i wiosną,  
     Posiewem światła dla wieków.  
 Nie! żadna chwila w czasie nie marnieje:  
 Z tchnień — duchów, epok budują się zręby;

A z nasion, które ręka nasza sieje,  
Wzrosną nie róże, lecz — dęby!  
Więc się nie pytaj, o poeto chmurny,  
Jakie *dziś jutru* pozostawi dary?  
Wierz tym, co zamiast z popiołami urny,  
Niosą w pochodzie — sztandary!

## Fragment.

Nie, to nie była grecka kolumnada,  
Z której kaskadą jasność dzienna spada,  
W jońskich żłobieniach gubiąc swe opale;  
Słońce nie drżało, jak dyament stopiony,  
Strzał złotych błękit miotając miliony,  
I kąpiąc czoło w powietrza kryształe;  
O rzeźbę brzegów nie biło tam morze,  
Jak wino Cypru, zamknięte w amforze,  
Co, szumiąc, w perły rozpryskuje fale.

\* \* \*

Nie, tam nie rządził Zeus, ani Hero,  
Ni cały Olimp, jedno wielkie zero,  
Co na płacz ludzki oczy ma kamienne...  
Nikt tam nie wołał wielkim, głośnym krzykiem:  
»Niesprawiedliwość!« — i nikt niewolnikiem  
Nie przyszedł na świat, klnąc jasności dzienne...  
Pogańskich mędrców nie było tam zgoła,  
Coby sofizmem zaćmiewali czoła  
I ujarzmili duchy przez pół senne...



Nikt na marmurze białym targowicy  
 Nie stawiał jeńcem męża ni dziewicy  
 Z wpeł obnażonem, drżącym hańbą łonem...  
 Nikt nie rozdzielał matki z jej dzieciną,  
 Nikt na twarz starca, pomarszczoną, siłą,  
 Nie pluł z cynikiem Xenem, ni Milonem...

Nie, to nie były owe ciemne wieki,  
 W których bez Boga i prawa opieki  
 Ludzkość błądziła, krwią znacząc swe ślady...  
 Nie, to nie były te wieki zatrute,  
 Co mędrcom swoim dawały cykutę,  
 Nędznych helotów mnożąc zastęp blady...  
 Tam nie radzili wielcy myśliciele,<sup>1)</sup>  
 By niewolników piętnować na czele,  
 Z bydłem u rzeki pojąc ich gromady.

Nikt tam za okup wolności bliźniego  
 Nie wzięłby miny złota ateńskiego,  
 By ją heterze rzucić na wonności...  
 To był świat inny — chrześcijański, nowy,  
 Co barbarzyństwa zrzuciwszy okowy,  
 Wiele i głośno mówił o wolności...  
 Stawiał świątynie, czczył Boga, kapłany,

<sup>1)</sup> Ksenofont.

Mnogie ustawy kreślił zadumany,  
Prócz jednej tylko — ustawy miłości!

\* \* \*

Miał pyszne grody, pałace wspaniałe,  
Zielone parki i muzea białe,  
Gdzie grecka piękność skamieniała stoi...  
Miał pełne gwaru i cizby stolice,  
Świetne salony, bogate dzielnice  
I tłum, który się echem szczęścia poi...  
Miał praw spisanych wielkie, grube tomy,  
Nowe idee i postępowidomy...  
I klucz od wielkich tajemnic podwoi...  
Miał brzmiące hasła i cenne sztandary  
Miłości bratniej, pokoju, ofiary;  
To był świat ludzki, chrześcijański, nowy...  
Tylko były tam całe tłumy ciemne,  
Życia bez jutra, wysiłki daremne,  
I pochylone od zwątpienia głowy...  
Tylko tam były smutne, blade twarze,  
Ręce bez pracy — bez bóstwa ołtarze,  
Piersi gryzione tajnych buntów jadem...  
Tylko nie wszystkim świeciło tam słońce,  
I tylko nędzarz ramiona mdlejące  
Łamał w milczeniu ponad czołem bladym...

Tylko nie wszystkich nakarmił chleb ziemi,  
I źródła wiedzy wodami żywemi  
Nie wszystkie usta poiły spragnione...  
Tylko tam były ubogie poddasza,  
Gdzie śmierć nikogo z nędznych nie przestrasza,  
Bo życie nosi cierniową koronę...

Tylko krwią ludów spłynęły tam rzeki,  
I tylko w błyskach leciały tam wieki,  
Jako zmacona łez ludzkich kaskada...  
Lecz świat był ludzki, chrześcijański, nowy,  
I dawno rzucił pogaństwa okowy...  
Nie — to nie była grecka kolumnada!

## Gdzie jest mój dom?

Gdzie jest mój dom? czy tam gdzie marzeń roje  
Budują świat z mgły ułud, z pieśni czaru;  
Gdzie lube sny kołyszą serce moje,  
Gdzie poi mnie szumiący zdrój nektaru?  
Czy tam, gdzie czyn w żelaznej ma prawicy  
Pochodnię zórz i wieków ciężkie wagi...  
I świeci w dzień ogniskiem swej żrenicy,  
A w ciemną noc dobywa miecz swój nagi?

Gdzie jest mój dom?... czy tam, gdzie smutek cichy  
W przestrzeni drży, jak skarga konająca...  
Gdzie srebrne lzy padają w róż kielichy,  
Gdzie nocom gwiazd, porankom braknie słońca?...  
Czy tam, gdzie ból, krwawiący świat przez wieki,  
I wszystek trud, i wszystkie hasła boju,  
W stłumiony krzyk zlewają się daleki,  
I płoszą sny widmami niepokoju?...

Czy tam mój dom, gdzie stoją białe trony  
 Wieczystych prawd, wśród ciszy majestatu,  
 Królując nam bez berła i korony,  
 I pchnięciem w ruch rozkazy dając światu?  
 Czy tam mój dom, gdzie źródła wiedzy płyną,  
 I w ludów krew wlewają żywe prądy?  
 Gdzie w szary świt zdobywcy słońca giną,  
 Wpatrzeni w wschód, skąd wstają nowe lądy?

\* \* \*

Gdzie jest mój dom? czy tam gdzie silni stoją,  
 Zgromiwszy lwa w swej piersi walką męską?  
 Czy tam gdzie ci, co drżąc się niepokoją  
 Przed chwilą burz bolesną — choć zwycięską?

\*

Czy tam, gdzie szał otwiera swe ramiona,  
 Płomiennych fal czarując upojeniem...  
 Gdzie burzą technień rozkoszy drga zasłona,  
 Gdzie życie jest i czarą — i pragnieniem?  
 Czy raczej tam, gdzie duchy, jak gołębie,  
 Białością piór zlewają się promienne...  
 Gdzie smętny wzrok zapada w tęsknot głębie,  
 Myśl budzi się — a żądze milkną senne?...

\* \* \*

W błękitną dal wędrowny ptak odlata...  
 W głębinę wód samotna łódź wypływa...

Ach! mamże ja tak zawsze wpośród świata  
Zbłąkana żyć, jak cień, co nie spoczywa?  
Gdzie prawda ta, co chwyta bez podziału?  
Gdzie przystań jest dla wszystkich walk i trudów?  
Ach, gdzie jest cel, krwi godny i zapalu,  
I życia chwil, i wielkich dążeń ludów?  
W skarb drogi swój swe serce człowiek wkłada,  
Jednocząc w nim żądz swoich niepokoje;  
Jaż tylko mam z przestrachem pytać blada:  
Gdzie jest mój dom? ach! gdzie jest wszystko moje?

Idę — i drzę — i wracam przerażona,  
I obcy świat otacza mnie dokoła...  
Ach! gdzież jest dłoń przyjaźnie wyciągniona?  
Gdzie drogi głos, co na mnie: »pójdź!« zawoła?  
Gdzież skłonię skroń? ach! gdzież ja się ukoję?  
Gdzie płynąć dam tym wstrzymywanym łom?  
Gdzie jest mój skarb? ach, gdzie jest gniazdo moje?  
Gdzie jest mój dom?!

Nie dziw się.

Ty mi się nie dziw, że ja cię wciąż pytam,  
I rzucam: »czemu?« w przestrzenie błękitu...  
Wszak odpowiedzi nikt mi nie dał jeszcze.  
Idę — i słucham — i w próżni tej chwytam  
Jakieś przebłyski dalekiego świtu,  
I jakieś hasła, jakieś wróżby wieszczę...  
Lecz to są tylko echa — i westchnienia,  
I starcia myśli nagłe błyskawice,  
Okrzyki zgrozy błędzących wśród cienia,  
Łkania — i skargi — i bluźnierstw wybuchy  
Na bezlitosną życia tajemnicę,  
Od której konają duchy...

Ty mi się nie dziw! któż z nas, co dziś żyją,  
Może zasypiać spokojny i cichy,  
Jak te powoju dziennego kielichy,  
Które lez rosy nie piją?

I tak się zwinąć, jak one, przed cieniem  
 I nigdy, nigdy nie przebić spojrzeniem  
 Tej tajemniczej, gwiazdzistej zasłony,  
 Która drży w ręku Boga od serc bicia,  
 Z jakim się do niej zbliżają miliony  
 Namiętnych duchów, co idą przebojem,  
 Za żądry swej niepokojem

I nie chcą — bez walki życia!

Ty mi się nie dziw! — ja jestem dziecięciem  
 Wieku, co wyrzekł, że gdyby mu dano  
 Prawdę, jak gwiazdę jaśniejącą cudem,  
 Ot tak, gotową, zdjętą prosto z nieba,  
 Prawdę, krwią jego serca nieoblana,  
 I niezdobytą potem, ani łzami;  
 Onby ją rzucił... bo jemu potrzeba  
 Iść — i zdobywać, i łamać się z trudem,  
 Zdumiewać światy śmiałem przedsięwzięciem,  
 Cofać się — padać — powstawać nanowo,  
 Drogi swe znaczyć krwawemi śladami,  
 Konać z tęsknoty czekając na słowo,  
 Które ma niegdyś z ust całej ludzkości  
 Dać nazwę świtom przyszłości.



Ty mi się nie dziw! — ja idę w pomroce  
 Zwątpień, któremi trują się dziś duchy...  
 Zdała gdzieś — nikły promyczek migoce,  
 Lecz wokoło mnie lecą huragany  
 Tehnień niespokojnych, które w samo słońce  
 Ciskają strzały swoje pałające,  
 Zdając się wołać: »zdmuchnę — potem stworzę«.

Ach! od tehnień takich, światelko to boże  
 Drży — i przygasa, jak płomyk, wydany  
 Bez żadnych osłon na wiatru podmuchy...  
 I trzeba wiele wytrwania i siły,  
 Żeby je w piersiach jak w lampie z kryształu,  
 Zamknąć — i iść tak w łunach ideału,  
 Aż do nieznaney mogiły.

\*

Ty mi się nie dziw! ja stoję na ziemi,  
 Po której idą tłumami smutnemi  
 Ludzie, których ja braćmi memi zowie...  
 Stoję — i patrzę — i płaczę nad niemi,  
 I gdybym była Bogiem, to każdemu  
 Dałabym spokój, i światło, i zdrowie.  
 I myśląc o tej wieczystej wszechmocy,  
 Którą mi wiara wskazuje w błękicie,  
 I o tej nędzy, i o łzach tajemnych,  
 O tych stęsknionych — i smutnych — i sennych,  
 Dla których śmiercią jest życie;

Gubię się w pełnej przerażenia nocy,  
I pytam namiętnie: czemu?

\* \* \*

Ty mi się nie dziw! Co dziś nie zachwiane?  
Co wiecznie pewne? niezłomne, prawdziwe?  
Ach! gdybyś wiedział, jak drży serce żywe,  
Gdy je w dwie strony targają zwątpienia!  
I gdybyś wiedział, jaką krwawą ranę  
W piersiach swych mają ci bladzi badacze,  
Którzy się w nędzy własnego istnienia  
Grzebią, jak w ziemi napół ślepe krety!  
Ach! gdybyś wiedział, jak serce im płacze,  
Gdy idą, jako złowróźbne komety,  
Przez lud, nad którym świecą, przeklinane,  
Zawsze samotni — i zawsze tułacze,  
Odarci z uciech, a nieraz i — z cześci!...  
I gdybyś wiedział, ile jest boleści,  
I ile żądał — i jadu gorzkiego,  
Ile poczucia nędzy i niemocy,  
W tem jednym słowie: »dla czego?«  
Gdy się je rzuca wśród bezsennej nocy  
W niebo, co w gwiazd swych srebrzystej poświacie.  
Stoi nad ziemią, w cichym majestacie,  
Jak badań otwarta droga;  
Tobyś mógł płakać nad dolą człowieka,

Który z śmiertelną trwogą i goryczą  
Słowo to straszne wyrzeka,  
I, w nieskończoność patrząc tajemniczą,  
O losy ziemi śmie pytać się — Boga!

Fragment.

O wiosno! gdzie ty gubisz swoje kwiaty?  
I jaki wicher skrzydłami płowemi  
Chwyta ich listki, i wlece po ziemi  
    Królewskie róż twych szkarłaty?  
Gdzie twych poranków blaski dyamentowe  
Gasną? i w jakie rozwiewa się cienie  
Wieczorna zorza co na twoją głowę  
    Kładzie koronę — marzenie?  
Od jakich żarów rosy twoje białe  
Tają, jak perły w morzu konające?  
Na czym ty łamiesz brylantową strzałę,  
    Którą posyła ci słońce?  
Gdzie przepadają mgły tve tajemnicze,  
I blade róże wschodzącej jutrzeńki?  
Od czego mdleją pąki tve dziewicze,  
    Zanim rozwiną swe wdzięki?  
O wiosno! w blaskach i uśmiejach cała,  
Co na skąpane w łzach upału tęcze  
Zarzucasz skrzydła lekkie i młodzieńcze,  
    Jak gdybyś w niebo leciała;

I coraz szersze dnia robiąc zdobycze  
 Na wschód i zachód słonecznej krainy,  
 Światła pochodnię wnośisz w tajemnicze  
     Srebrzystej nocy dziedziny;  
 O wiosno! czemu tęczę twoje gasną,  
 Skrzydła się łamią i ciężą ku ziemi?  
 I czemu zmierzchy ustami chłodnemi  
     Zdmuchują zdobycz twą jasną?  
 Czemu słowicze pieśni twoje mdleją?  
 Czemu wód twoich wysychają czary?  
 Czemu, nazwana: »miłością« — »nadzieją«,  
     Dotrzymać nie umiesz wiary? —

\*

\*

O serce ludzkie! gdzie są upojenia  
 Młodych porywów twoich i tęsknoty?  
 Gdzie wielkie czyny słabego ramienia?  
     Gdzie wielkich rojeń plan złoty?  
 Gdzie świeżość uczuć twoich porankowa?  
 Gdzie dążeń, celów twoich ideały?  
 Gdzie zapal, którym uskrzydłone słowa  
     Pieśni twej w niebo leciały?  
 Gdzie twoje siły, energii twej suma?  
 Gdzie sny twe ciche, dziewicze, niebieskie?  
 Gdzie nieskalana czoła twego duma,  
     Twoje ubóstwo królewskie? —

Gdzie ukochanie twoje wszechpiękności?  
 Cześć dla wszystkiego, co wzniosłe, co święte?  
 Gdzie są twe barwy, szermierzu ludzkości,  
     W walce o przyszłość podjęte? —  
 Gdzie głębia rwąca i świeżość tych prądów,  
 Które rzeźwiły brzeg suchy, omdlały?  
 Gdzie orle tęcze hipotez i sądów,  
     Co niebo z ziemią wiązały? —  
 Gdzie przedumanej nocy urok cichy,  
 Co ci bezsenne otwierał powieki?  
 I gdzie są ducha upojeń kielichy,  
     Kipiące życiem na wieki?  
 Zapał młodzieńczy do wiedzy, do pracy,  
 Gdzie złamał wzlotów swych potężnych skrzydła?  
 I w jakich mroków pochwyceni sidła,  
 Milkniecie, świtu śpiewacy?

Młodości bujna! o wiosno ty ziemi!  
 Co pokolenie, świat wzmaga swe tętna  
 I, oddychając pierściami pełnemi,  
     Ludzkość rozbudza się smętna...  
 Czemuż jej nie dasz tak potężnych ruchów,  
 Tyle wytrwania, i żaru, i siły,  
 Żeby, chwyciwszy się młodzieńczych duchów,  
     Zmartwychpowstała z mogiły?

Czemu ty sama, o zorzo dziejowa,  
W mgle powszedniości przygaszona perło,  
Jak z tronu swego zepchnięta królowa,  
Łamiesz o życie swe berło? --

## Czy warto?

I cóż z tego, że gieniusze  
Nieśmiertelne dzieła tworzą?  
Że myśliciel swoją duszę  
Na świątynię zmienia bożą?  
I cóż z tego, że w tęsknocie  
Do wieczystej prawdy zdrojów  
Duchy, pełne niepokojów,  
Jako orły rwą się w locie?  
I cóż z tego, że przestrzenie  
Światła, ciszy, i błękitów,  
Myśl, słonecznych pełna świtów,  
Ukochała nieskończenie?  
I cóż z tego, że są duchy,  
Co się trawią własnym żarem;  
Póki świat dźwiga łańcuchy,  
I w bezprawiu tonie starem?...  
Że wskrósć wieków, jak kometa,  
Gorejąca myśl przelata?  
Że duchowy gdzieś atleta  
Podwaliny wstrząsa świata?...



Że jest serce, które płacze  
Nad niedolą wieku swego?  
Że są ścieżki, gdzie tułacze  
Idą smutni?... i cóż z tego?

Wszak na ziemi, tu wśród tłumu,  
Co pięściami się rozpycha,  
Wśród zamętu, krzyku, szumu,  
Gdzie sto żądź naraz oddycha,  
Ani jedno próżne słowo  
Na warg brzegu nie zastygnie;  
Ani jedna myśl w malignie  
Nie zbudzi się świeżą, zdrową;  
Ani jeden uśmiech pusty  
Nie powstydzi się, że lata,  
Różowemi tchnięty usta,  
Nad ogromem nędzy świata;  
Ani jeden strój balowy  
Nie zużyje mniej krwawicy;  
Ani jeden kwiatek z głowy  
Nie wypadnie tanecznicy;  
Ani jedna wina czara  
Nie drgnie w dłoni biesiadnika;  
Samolubna żądza dzika  
Nie wymówi: »czyn, ofiara;«  
Ani jedna pierś zamarła

Ogniem ducha nie zapłonie,  
Ani jedna wielkość karła  
Nie zachwieje się na tronie...  
Tłumu śmiechy i oklaski  
Nie ominą arlekina,  
Gdy wieczornych zórz godzina  
Z wstydu gasi swoje blaski...  
Ani jeden duch służalczy  
Nie podniesie zgiętej skroni,  
I nie rzuci ten, co walczy  
O garść złota, nędznej broni...  
Żadna podłość, żadna zdrada,  
Żadna hańba, co się ima  
Mroków nocy, drżąca, blada,  
Nad przepaścią się nie wstrzyma!...

\* \* \*

Ach! gdy wszelka rana ziemi  
Bez ratunku jest otwartą,  
Płakać łzami gorącemi,  
Tęsknić, konać, czyż to warto?

## Nie skarż się!

Nie skarż się, bracie! żadna grudka ziemi,  
Którą ocean skrzydłami srebrnymi  
Lotnych fal swoich od brzegu odbije,  
Nie ginie marnie... żadne piasku ziarno,  
Lecące w otchłań straszliwą i czarną,  
Gdzie milion cudów i przerażeń żyje,  
Nie jest straconem... Przyrody potęga,  
Gdy wód i ognia ścierają się prądy,  
Łamie kryształy, do dna morza sięga,  
I z tych atomów dźwiga nowe łądy.

Nie skarż się, bracie! żadna kropla rosy,  
Co rankiem pada na łąki i wrzosa  
I w brylantowe dyademy stroi  
Główki róż dzikich i białych powoi,  
Nie traci bytu, choć taje, mdlejąca  
Od pocałunków płomiennego słońca...  
Ta sama kropla, ukryta w obłoku,  
W twarz ci gdzieś pryśnie u białej kaskady,

Albo uprzedzie dla mgły rąbek blady,  
 Albo w najdroższym tobie błysnie oku!...

Nie skarż się! iskra, co gasnąc ulata,  
 Jak duch zdmuchnięty w wysiłku daremnym  
 O atom światła nie zuboży świata,  
 Choć zniknie w zmierzchu tajemnym...  
 Ta sama iskra, tchnięta gromem słowa,  
 Przebiegnie ogniem przez wzruszone tłumy,  
 Lub, jako strzała burzy piorunowa,  
 Rozwali prastare tummy. —

Nie skarż się, bracie! ostatnie westchnienie,  
 Które bez jęku, bez szmeru, bez skargi,  
 Rozchyła blade, konające wargi,  
 Nie leci w nicość i wieczne milczenie...  
 Ono się zbudzi, jak wichur nawałny,  
 Co łamie maszty i żagle napręża...  
 Lub jako okrzyk ludów tryumfalny,  
 Gdy sprawiedliwość zwycięża.

\* \* \*

Sił swoich nigdy nie roni przyroda,  
 Ale je w wiecznym utrzymuje ruchu,  
 I w tajemniczym istnienia łańcuchu  
 Nic ich nie ujmie, i nic ich nie doda...

Choćby ocean podniósł się w błękity,  
 Choćby na ziemię spadła mleczna droga;  
 Zawsze pierwiastek bytu niepożyty  
 Obejmie sobą myśl Boga.

Nie skarż się, bracie! choć ducha szermierze  
 Padają w walce, przez ciźbę zdeptani,  
 Wieczne ludzkości z postępem przymierze  
 Nie zginie w mrocznej zwątpienia otchłani.  
 Ideał jasny, ideał promienny,  
 Coraz wyższego i szerszego ruchu,  
 Choć w formie zjawisk wydaje się zmienny,  
 Trwa wiecznie w prawdzie i duchu.

Nie skarż się, bracie! choć w dzieje wpatrzony  
 Widzisz krew tylko, i hańbę, i rany;  
 Cel, dla którego pracują miliony,  
 W drobnych ułamkach zaledwie nam znany.  
 Co tracą wieki, nie zawsze jest stratą:  
 Z ciemnic więzienia, ze stosów męczeństwa,  
 Myśl ulatuje żywą i skrzydlatą,  
 By śpiewać hymny zwycięstwa.

\* \* \*

Nie skarż się! alboż wiedzieć jesteś w stanie,  
 Gdzie dziś kiełkuje siew zprzed lat tysiąca,

Z jakim kwiatem wspaniałym powstanie  
W jutrzennych promieniach słońca?  
Jaka ożywcza i płodna potęga  
Zamierzchłej pracy wiek nowy zasila?  
I gdzie lecąca z ust oddechem, chwila,  
W potężnych skutkach swych sięga?

\* \* \*

Duch dąży w światła dziedziny przyszłości,  
I w ruchy swoje wciela niewidomie  
Żywą energią walczącej ludzkości,  
W całym jej różnic ogromie.  
Z promiennej jego, choć krwawej, zdobyczy,  
Nic nie przepada i nic nie zaginie;  
Jest myśl, co każdy wysiłek policzy  
Wielkiej tryumfu godzinie.

Fragment.

Wielki ty jesteś, serc królu, poeto!  
Co wstrząsasz myśli, uczucia i wolę,  
I na błyskawic pełnem nosisz czole  
Znamię gieniusza, który jest kometa  
Na ciemnem wieków i narodów niebie...  
Wielki ty jesteś, czezę ciebie!  
Pieśń twa potężna, szeroka, natchniona,  
Grzmi wpośród tłumów zdumionych milczenia,  
I poi rosą ginących z pragnienia,  
I chlebem jest dla miliona,  
I jak krew wrząca przelewa się w żyły,  
I nieśmiertelna jest, i bez mogiły.  
Komu raz dłoń twa na czole położy  
Ognistą pieczęć hańby, lub wielkości,  
Stoi przez wieki całe wśród ludzkości,  
Rozbudza zapał, unosi, lub trwoży.  
Tyś król: gdy skiniesz berłem brylantowem,  
Ziemia drży, ludy dzielą się twem słowem.  
Piękności wiecznej jesteś poślubiony;  
Tłum lekkich duchów służyć ci przylata;

Świat nowy stwarzasz wśród starego świata  
 Strącasz w przepaście, i rozdajesz trony...  
 I jesteś, jako pomnik twojej ziemi.  
 Który Bóg wykuł rękoma własnymi.

Lecz większy jesteś ty, o myślicielu,  
 Co głosisz prawdy odwiecznej ustawy,  
 I idziesz cichy, samotny, bez sławy,  
 Do nieznanego dla współczesnych celu,  
 I widzisz ruchy tajemnicze wieku...

Tyś większy! cześć ci, człowieku!  
 Słowo twe ciche drzeć sercom nie każe,  
 Ni łez wylewać, ni wzdychać z nałogu;  
 Lecz jest jak owe najświętsze ołtarze,

Przy których duch służy Bogu.  
 I jest jak jasne dyamentowe miecze,  
 Rozcinające wgląd' piersi człowiecze.  
 Cóż tobie tłumy? ich oklask i wrzawa,  
 Namiętnych wzruszeń wybuchy i szały?  
 Tryumf twój cichy bywa, jak te prawa,  
 Co niewidomie obejmują cały  
 Wszechświat bez walki, zemsty i miłości,

I są przyrody duszą i ludzkości.  
 Cóż tobie tłumy? czy, prawda poznana  
 Większą jest prawdą? czy, gdyby przed progiem  
 Białej świątyni nikt nie zgiął kolana,  
 Bóg przestałby się zwać Bogiem?



Czy nieskończoność, zaślubiając ducha,  
 Liczy kto patrzy na nią, kto jej słucha?  
 Zamknięty w ścianach swej cichej komnaty,  
 Samnasam z myślą, co światy obiega,  
 Uniesień swoich nie nosisz, jak szaty  
 Jaskrawej, co tłum podżega;  
 Ale dumania twe i lży zachwytu

Noc tylko widzi oczyma z błękitu...  
 Lecz kiedy duch twój samotny, daleki  
 Od czczego tłumu, iskrę skrzese z siebie,  
 Jaśniej, słoneczniej robi się na niebie,  
 I cichsze przychodzą wieki...

I ludzkość czuje, że jej coś przybyło,  
 I naprzód idzie z podwojoną siłą.  
 Królestwo twoje nie jest z tego świata;  
 Do twego szczęścia nie trzeba ci zgoła  
 Oklasków tłumu; a twoja zapłata,  
 To wieczna pogoda czoła.

Krwi, co ci z serca wytryska gorącej  
 Ty nie sprzedajesz, krzyząc: »kto da więcej?«

\*

Ktokolwiek wstąpił bez łez i bez drżenia  
 Na beznamiętne, błękitne wyżyny,  
 Kędy się waży wieczny punkt ciężenia,  
 A nieodzowne i płodne przyczyny  
 W nieskończoności tkwią, jako kotwice,  
 Rzucone w przepaść, w zmrok i tajemnice;

Ten wie, jak można ucuć się spokojnym,  
Czystym i cichym, i blizkim wieczności,  
I zapatrzonym w światło, i dostojnym,

I przodującym ludzkości.

Któż z tych co kiedyś dosięgli tych szczytów,  
Nie zna Keplera modlitw i zachwytów?  
O! nieśmiertelny prawdy oblubieńcze?  
Duchu, co niczem ziemskim, ni znikomem  
Nie gasisz żądź swych, lecz wpatrzony w tęczę  
Słonecznych światów, rośniesz ich ogromem,  
I wzlatasz, ponad serc bicie i drzenie,  
Tam, gdzie jest prawda, Bóg, ty i milczenie!  
O Duchu! czyż się nie czujesz czemś świętszem,  
Czemś innem, wyższem nad tłum, co się wzrusza?  
Czyż ukochaniem światła najgorętszem

    Nie potężnieje twa dusza?

Czyż nie jest większym umysł, co docieka  
Prawdy, od wieszca, niemal od człowieka?

\* \* \*

Pieśni potęgą tłum wrzący porywa  
Do tych poziomów, gdzie pieśniarz przebywa,  
I wieść go może od światła do cienia,  
Od bohaterstwa aż do upodlenia.  
Może palącym żarem swych pochodni  
Obudzić zapal do enoty, lub zbrodni.  
Bo fałsz tak wielkim, jak prawda, być może;  
A tłumy wszystko, co wielkie, porusza

I drzeć im każe... więc jeśli twa dusza,  
 Poeto, nie jest, jak naczynie boże,  
 W którym kosztowna perła jest zamkniętą;  
 Pieśń twa być może wielką, a przekłętą!  
 Lecz myśl badacza jest, jak struna drżąca,  
 Rozpięta między przyrodą a duchem,  
 Którą bieg przyczyn i skutków potraça  
 Wieczystym skrzydeł swych ruchem...  
 Jej droga pewną jest, jak słońca droga;  
 Co w niej istnieje, istnieje u Boga  
 Obcą jej walka namiętna, burzliwa,  
 Prawd względnych, duchów złamaných napoły;  
 Ona konieczną siłą, jak żywioly,  
 Wiąże swych wniosków ogniwa,  
 I urojona nie płacze żalobą,  
 I rzeczywistość swą ma poza sobą.

Poeta, daje brylanty, i kwiaty;  
 Łzy, i uśmiechy rozrzuca ludzkości...  
 Ale myśliciel odkrywa jej światy  
     I nowe drogi przyszłości.

Z poetą serce nasze się sprzymierza,  
 Nasze zachwyty i nasze boleści;  
 Ale myśliciel nigdy nas nie pieści,  
     Lecz, jak konieczność uderza...

Poetów miały ludy już gasnące,  
 Co w lutnię tchnienie ostatnie przelały;

Lecz myślicielei rodzi nowe słońce  
I pełne sił ideały.  
Poeta wschodzi, jak kwiat, który sieje  
Wiosenny ranek na łące, nad strugą...  
Ale myśliciel jest krwawą dosługą  
Narodu, co zna swe dzieje.

Módl się więc, smutny i stojący w cieniu,  
W koronie blasków zgaszonych, narodzie!  
Niechaj pieśń wielka poi cię w pragnieniu,  
A myśl niech karmi cię w głodzie!

Ach! może, gdy się w mgławicę obłoczną  
 Zmieni materya, sił wiecznych narzędzie,  
 Bóg może powie: »niech smutni odpoczną!

Niechaj noc będzie!«

Lecz dziś, gdy zastęp walczących szermierzy  
 Ginie, by wskresnąć wszechruczem wśród globów,  
 Gdzież ten, co w wieczny spoczynek uwierzy  
 I w ciszę grobów?

### III.

Ktokolwiek widział najdroższe oblicze,  
 Kamieniejące w linie tajemnicze,  
 W przedśmiertnej walki godzinie;  
 Ktokolwiek słyszał cichy jęk konania,  
 Kiedy się dusza na usta wyłania  
 I drży, i gaśnie, i ginie...  
 Ktokolwiek w drogiej i mdlejącej dłoni  
 Widział gromnicę, jak światło swe kłoni  
 Za ust niepewnym oddechem;  
 Ktokolwiek słyszał obojętne szmery,  
 Gdy przyszło w miarę dobrać deski cztery,  
 Żeby się wieko zawarło...  
 Ktokolwiek ziemi oddał skarb najdroższy,  
 I w puste kąty wracał sam, uboższy  
 O całą miłość umarłą, —

Ten w dniu jesiennym, mglistym listopada  
Bóle tęsknoty swojej wypowiada  
Na cichym grobie cmentarza;  
Ten swoje modły żałobne i łzawe,  
Sieroce nędze i wdowie łyzy krwawe  
Niesie na stopnie ołtarza.

Lecz kto i kiedy modlitwy pokutne  
Odmawiać zechce za te dusze smutne,  
Co jeszcze mdleją w podróży?  
Za owe chwiejne i wątpiące duchy,  
Na ostrych pokus wydane podmuchy,  
Jak łódź bez steru, wśród burzy?  
Za te, co światła łakną i pokoju,  
Za te, co tają, jako rosa, w znoju  
Skwarne go dnia upalenia?..  
Za te, co, w otchłań zapatrzone ciemną,  
Próżno wołają, żądają daremno  
Prawdy i wiedzy promienia?  
Za te, co pragnień pożarem trawione,  
Czyścowych ogniów męczeńską koronę  
Noszą, jak upiór północy?  
Za te, co, znikąd nie mając ratunku,  
Drżące, zbłąkane, bez wyjścia, kierunku,  
Bez bratniej giną pomocy?

Za te, co cierpieć nie mają już siły,  
I odpocznienia pragną u mogiły,  
Po ciężkiem życiu tułaczem?  
Za bolejące duchy i zgorzkniałe,  
Za te, co szaty pokalały białe,  
Kto, pytam, modli się z płaczem?

~~Go~~ Nikt



Wesoły kto i ki

## Credo.

Wierzę w ducha potęgę i w wiedzy zdobycze;  
Wierzę w cel życia wzniosły, święty, choć daleki;  
Wierzę w braterstwo ludów, w hasła tajemnicze,  
Które przez wrzawę dziejów wiekom dają wieki.  
Wierzę w dobro, co z czołem białem od promieni,  
Wyleczy kiedyś ziemię z jej ran i z jej cieni...  
Wierzę że bohaterscy ducha pracownicy  
Ujrzą jutrznię dni nowych ze swojej strażnicy.  
Wierzę, że dawne błędy następstwa łańcuchem  
Ciężą nad późnych wieków kierunkiem i ruchem.  
Wierzę w dziedziotwo kary, w pokutę dziejową;  
Wierzę, że sprawiedliwość zstąpi nam królową...  
Wierzę w ciszę i w spokój po gromach i burzy;  
Wierzę w siłę, co, walcząc ze złem, się nie nuży...  
Wierzę, że wytrwać można mężnie i dostojnie  
W największej własnych uczuć i porywów wojnie.  
Wierzę w uścisk, co kiedyś świat połączy cały;  
Wierzę w nieskończoności białe ideały;  
Wierzę, że z drobnych iskier, skrzęsanych przez dzieje,  
Wielkie, wspólne ognisko ludzkości roztleje.



Wierzę w przejrzyste sfery ponad wrzawą ziemi,  
 Kędy się krzepią duchy wodami żywymi,  
 Kędy niskie zabiegi milkną przed obliczem  
 Wiekuistej ustawy z berłem tajemniczem,  
 Wierzę w kwiaty nadziei, co z mogił nam wschodzą;  
 Wierzę, że krzywd posiewy bohaterów rodzą.  
 Wierzę w parcie konieczne, świadome ludzkości,  
 Do potężnych idei prawa i równości.  
 Wierzę, że błędnych komet blask zagasa zwolna;  
 Wierzę, że ludzkość wiecznie ludzić się nie zdolna,  
 Lecz, nim dosięgnie prawdy, smutna i stęskniona  
 Nieraz do marnych cieniów wyciągnie ramiona.  
 Wierzę w braterskiej dłoni uścisk i zachętę;  
 Wierzę w duchów zbudzonych obcowanie święte;  
 Wierzę w siłę, co stapia czyny i ofiary  
 Na dni nowych słoneczne, królewskie sztandary;  
 Wierzę w orli lot ducha, co nigdy nie stoi...  
 I »niechaj mi się stanie podług wiary mojej«.

*JK.*

*JK.*

*JK.*

## Ostatnie piosnki.

Ach, ja w pieśni przestaję być sobą,  
A jestem smutkiem, ciszą i żalobą!  
I jestem listkiem drżącym na gałęzi;  
Jestem mgłą bladą, co dnia jasność więzi:  
Jestem pól nagich długim, pustym szlakiem,  
Lecącym smutnie na obczyznę ptakiem;  
Jestem przeciągłym po stepach powiewem,  
Więdącym kwiatem, obumarłym drzewem;  
Jestem odbiciem gasnących promieni,  
Splątanem pasmem lekkich, drżących cieni;  
Jestem posepną chmur czarnych źrenicą,  
I szarych godzin zmierzchem i tęsknicą...  
I jestem lasów zdeptanych koroną,  
Opadłych liści czernią znieważoną,  
I brzoźką białą, co w zadumie słuca,  
Jak wichler świstem szyderczym wybucha...  
Jestem konikiem polnym, który kona;  
Rosą, co szronem błyszczy wysrebrzona;  
Jestem zemglonem poranka spojrzeniem,  
Rozstaniem jestem, i lżą, i wspomnieniem.

Z drżącą topolą schylam w smutku czoło,  
 I listki marzeń rozsypuję wkoło...  
 Z spóźnioną pliszką piosnkę cicho nucę:  
 »Do wiosny tęsknię! do wiosny się wróć!«  
 Myśl moja w różne mieni się kolory,  
 Jak nasze gaje, i jak nasze bory...  
 Z trawą skoszoną do ziemi przypada,  
 I z gwiazdą senną rozświetla się blada...  
 Srebrem migoce w białej pajęczynie,  
 Z zagasłej róży tchem ostatniem ginie...  
 Z gniazdkiem zburzonym chwieje się i żali,  
 Z tumanem liści przepada w oddali...  
 I tak nad świata zamglonym obszarem  
 Leci, porwana dni jesiennych czarem,  
 Tak coraz słabszem tętnem życia dyszy,  
 I tak się gubi w przedśmiertelnej ciszy,  
 Taką tęsknotą napawa się, drżąca,  
 I tak się czuje wygnaną od słońca;  
 Że, gdy ostatni liść z drzewa obleci  
 I wstaną duchy śnieżystych zamieci,  
 Ona, jak ptaszę zmilknie, sposepnicze,  
 I po kurhanach mgłami się rozwieje...

## II.

Stepie daleki! stepie ty zielony!

Ach, otwórz mi się jak drogie ramiona...

Niechaj polecę, jak ptak uskrzydłony,  
 Niech się rozplnę w ciszy twej, stęskniona!

\* \* \*

Tu, przy mnie, blisko, stań brzoza płacząca...  
 Tu, przy mnie, blisko, stań konwalio biała!  
 Niech się traw fala o pierś mi roztrąca,  
 Niechaj wiatr śpiewa, ja będę słuchała!

\* \* \*

Nad głową nie chcę mieć nic, prócz błękitu,  
 Pod stopą tylko drobne, polne zioła...  
 Innego światła nie chcę, prócz gwiazd świtu...  
 Dajcie mi spocząć! — niech mnie nikt nie woła!

Niech ja zapomnę, że nade mną ciążą  
 Minione wieki posepną żałobą...  
 Niech mnie ustawy, niech prawa nie wiążą,  
 O! niech zapomnę, że muszę być sobą!

Zasłoń mi oczy, ty chmurko rozwiana,  
 Której cień nikły jasność dzienną mroczy...  
 Z oddechu kwiatów, z łez zdroju utkana,  
 Chmurko srebrzysta, ach, zasłoń mi oczy!

Niech ja nie widzę walk, pełnych goryczy,  
 Wyścigów poprzez stratowane duchy...  
 Niech ja nie widzę, jak brat bratu liczy  
 Chleba i serca mizerne okruchy.

\* \* \*

Ciszo ty błoga, ciszo ty stepowa!  
 Owiej mi czoło skrzydłami lekkimi...  
 Niech zmilkną dla mnie próżne treści słowa,  
 Niech ja usłyszę oddech matki ziemi...

\* \* \*

Stepie ty wolny! o stepie szeroki!  
 Daj mi się skapać w obszarach bez końca...  
 Niech w białe pióra uderzą obłoki,  
 Polecę na nich do Boga i słońca!

### III.

Oj! rozżaliła się gwiazdka maleńka,  
 Że w nocy świeci...  
 Oj! zapłakała samotna piosenka,  
 Że z wiatrem leci...

\* \* \*

Gdybyż mi świecić, gdy zorza rozdmucha  
 Jutrznię różową!

- »Gdybyż mi śpiewać dla serca, co słucha,  
Dobre da słowo!
- »Och! wypatrzyłam już oczy błyszczące  
W tę nockę ciemną...
- »Och! wyśpiewałam już dumki pałace  
W nicość daremną...
- »Kwiaty mnie senne nad ziemią uśpioną,  
Dojrzyć nie mogą
- »Ludzie piosenkę, sieroco rzuconą,  
Potracą nogą...
- »Nocko zroszona, w twym cieniu perłowym,  
Drżąc, świecić muszę...
- »Próżnio ty straszna, oddechem grobowym  
Ziębisz mi duszę!
- »Komuż ja promyk i światło dam drżące  
W drogę spóźnioną?
- »Komuż ja serce orzeźwię mdlejące,  
Rozgrzeję łono?
- »Choćby mi ognie trysnęły znad czoła,  
Jak światła zdroje,
- »Nikt tu nie spojrzysz i nikt nie zawoła:  
Słonko ty moje!
- »Choćbym ja duszę oddała z płomieni  
I z dźwięków ciała,
- »Ludzie, słuchając, nie staną wzruszeni...  
Pieśń — jak to mało!
- »Zabierz mnie, srebrna, ach, zabierz mnie w siebie,  
Ty wstęgo mleczna!

- »Roznieś mnie, wietrze, po ziemi i niebie,  
 Gdzie cisza wieczna!
- »Albo mnie z czoła zrzuć, cichy błękanie,  
 Jak iskrę marną...
- »Albo mnie ptaszki pochwyćcie o świcie,  
 Nad ziemię czarną!
- »I niech w przestrzeni zagasnę nareszcie  
 Jak błysk co znika!
- »A wy mnie, szumy, po drzewach roznieście,  
 Gdzie puszcza dzika!

Oj, rozetliła się gwiazdka maleńka  
 W leciuchne cienie...

Oj, rozplynęła się smutna piosenka  
 W ciche westchnienie!



WŁASNOŚĆ  
 OLSWI MACIERZE  
 SZKOLNEJ.

*Mi*

Koło Kieleckie





## SPIS RZECZY.

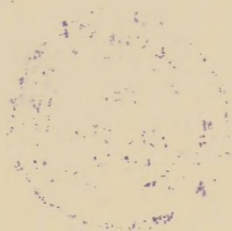
Wstęp . . . . .	5	Modlitwy wiosenne . . . . .	153
W górach:		Jak mi smutno! . . . . .	167
I. Przygrywka . . . . .	9	Obrazki:	
II. Na Dunajcu . . . . .	12	I. Co pocznie? . . . . .	171
III. W poranek . . . . .	15	II. Sobotni wieczór . . . . .	175
IV. Noc . . . . .	18	III. Wolny najmity . . . . .	179
V. Na Czorsztynie . . . . .	22	IV. Przed sądem . . . . .	182
VI. Na szczytach . . . . .	25	V. Z wiejskiej szkółki . . . . .	186
VII. Rabsztyń . . . . .	27	VI. Bez dachu . . . . .	191
VIII. W Jaworkach . . . . .	29	Czy marzą? . . . . .	195
IX. Na Dunajcu . . . . .	31	Przed odlotem . . . . .	197
Klaudia . . . . .	33	Co to jest życie? . . . . .	199
Idylla . . . . .	52	Bądź silnym . . . . .	203
Po burzy . . . . .	55	Głód . . . . .	206
Anioł milczenia . . . . .	57	Przeszłość i przyszłość . . . . .	210
Opowiadanie rannego . . . . .	62	Odpowiedź . . . . .	213
Grünwald . . . . .	68	Fragment . . . . .	216
Tarcza Scypiona . . . . .	71	Gdzie jest mój dom . . . . .	220
Jaskółka . . . . .	94	Nie dziw się . . . . .	223
Z dziejów pieśni . . . . .	100	Fragment . . . . .	228
Romans wiosenny . . . . .	105	Czy warto? . . . . .	232
Fragment . . . . .	122	Nie skarż się . . . . .	235
Echa majowe . . . . .	124	Fragment . . . . .	239
Wskróś nocy . . . . .	133	Do kobiety . . . . .	245
Tesknota . . . . .	137	W Zaduszy dzień . . . . .	250
Czem jesteś? . . . . .	142	Credo . . . . .	256
Z dni smutku . . . . .	144	Ostatnie piosnki . . . . .	258
Najkrwawsze pole . . . . .	149		





Міжцрекі з Копію  
Кара Сікеса





10:16 = 0.1625

96

40

WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

87488

**Biblioteka WSP Kielce**



**0170490**